Rok II Warszawa 15 lutego 1934 r. Nr. 4

CZŁOWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr

Prenumerata kwartalnie
w kraju zł. 3.—
za granicą zł. 4.—

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. w tekście zł. 1.—
za tekstem 60 gr

Redakcja i Administracja:
Warszawa,
Grójecka 45 m. 15

Telefon 9-40-17

Redaktor przyjmuje

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca

CYFRY

Cyfry, dotyczące bezrobocia, są znane nieomal każdemu. Powtarzamy je z pewnem zalęknieniem, powtarzamy je nieraz z przerażeniem poprostu, stwierdzając pogorszenie się sytuacji. Są inne cyfry, na które mało zwracamy uwagi, które najczęściej uciekają z pod naszej obserwacji, bo nie dotyczą ani produkcji, ani handlu, ani bilansu; cyfry, które dla opinji publicznej jeszcze nie nabrały odpowiedniej wymowy — a przecież ważne i znamienne. Cyfry te dotyczą życia ludzkiego.

Otóż mówią one nam, że pomimo kryzysu. pomimo biedy i niedostatku, pomimo wszystkie nieszczęścia — śmiertelność w Polsce się zmniejsza. W roku 1926 osiągnęła ona 17.8 na tysiąc i od tego czasu krok za krokiem, po jednym, po dwa promile maleć poczyna, aż doszła do przeciętnej za trzy kwartały ubiegłego roku 14,2, a dla trzeciego kwartału ubiegłego roku 11,6. Tak, że pomimo spadku ilości urodzin — przyrost naturalny się zwiększył.

W tym samym czasie ilość zgonów niemowląt również spadła. W roku 1927-ym było ich 15,1 na 100 — trzy kwartały ubiegłego roku wykazują 12,9, a kwartał trzeci 11,9.

Warunki gospodarcze nie usprawiedliwiają tego faktu bynajmniej. Warunki gospodarcze pogarszały się z roku na rok, z miesiąca na miesiąc. ulegając tylko nieznacznej poprawie sezonowej. Przyczyny polepszenia się sytuacji trzeba szukać gdzieindziej — trzeba szukać w świadomej akcji państwa i społeczeństwa, w naszem ustawodawstwie społecznem i w coraz doskonalącej się pracy społecznej.

Faktem jest, że ubezpieczalnie wszelkiego rodzaju przelewają w różnej postaci w środowisko najuboższej, najbardziej potrzebującej części ludności około 600 miljonów złotych rocznie. Faktem jest, że Kasa Chorych przyjmuje codzień setki tysięcy ludzi. rozszerzając wśród nich świadomość o chorobie, a z drugiej strony dając im w ręce leki. Faktem jest, że cały szereg ludzi zupełnie niezamożnych leczy się po sanatorjach. szpitalach, o których bez odpowiednich instytucyj marzyćby poprostu nie mogli. Pracują ośrodki zdrowia, pracują poradnie przeciwgruźlicze, przeciwweneryczne, docierając nietylko w szeregi Proletarjatu, przez wielkie P. ale do tych sfer, które jeszcze parę lat temu zupełnie znikały z pod obserwacji pracowników społecznych. I ta świadoma, mocna, potężna już dziś praca. kierowana wolą zwalczenia zła, pomimo objektywnie coraz pogarszającej się sytuacji. robi swoje. Zdawało się niejednemu, że zapobiega ona tylko ostatecznemu stoczeniu się w przepaść— otóż cyfry, chłodne cyfry wskazują. że nietylko powstrzymuje, ale pomimo wszystko wiedzie w postęp!

Na innem miejscu wspominamy o akcji antytyfusowej w Warszawie. Tu tylko wypada podnieść tę błyskawiczną szybkość, z jaką epidemja została zdławiona. W dniu, w którym przedostała się wiadomość o zarazie do wiadomości publicznej, czynniki zdrowia już, właściwie mówiąc, zlokalizowały i zdławiły wroga, zniszczyły ogniska zarazy. Jeszcze parę osób z pośród objętych kwarantanną zachorowało. Tyfus nazewnątrz jednak nie przedostał się. Możemy podziwiać sprawność organizacji która w przeciągu paru dni poddała kąpieli kilkadziesiąt tysięcy ludzi, poddała dyzynfekcji

wszystko, co tylko trzeba było poddać i opracowała plany pracy zapobiegawczej.

I może umęczony przez dzisiejszą sytuację człowiek, spojrzawszy na tę sprawność aparatu zdrowia, na który złożyło się wojsko, komisarjat, miasto i Czerwony Krzyż, a więc instytucja społeczna — pocznie nareszcie wzbudzać w sobie poważanie dla tego Państwa, pocznie rozumieć, na co z niego ciągną bezlitosne podatki, dlaczego dręczy go komornik niejednokrotnie. Może nareszcie poczniemy rozumieć, że wyszliśmy dawno z okresu, w którym Państwo wymagało tylko ofiar. Dziś daje ono już bezpieczeństwo zdrowia, a cyfry wykazują, że dobrodziejstwo to stało się udziałem szerokich mas ludności.

Jest w tem moment pocieszenia. Jest w tem moment nadziei — jest w tem i inny jeszcze moment. Oto wykazuje on, że świadoma, planowa praca, niezłomna wola — mogą przełamać warunki „naturalne“, mogą wyrównać szkody zadawane nam przez zjawiska zewnętrzne. I to jest bodaj największa doniosłość cyfr, które przytoczyliśmy za ostatnim numerem „Wiadomości Statystycznych“. To jest wielka nauka, że wobec żadnych warunków nie wolno nam zakładać rąk i czekać, aż przyjdzie polepszenie, że polepszenie sami musimy stworzyć. To, czego dokonaliśmy w dziedzinie zdrowia, możemy i powinniśmy wykonać w dziedzinie gospodarczej. Taka sama świadoma i ofiarna walka na tym odcinku musi nam przynieść polepszenie, jeżeli tylko spróbujemy poszukać dróg nowych, dróg, na których nie będziemy biernie bronili się w okopach starych pojęć i starych metod ale wyruszymy do boju z planem i męstwem, którego nie złamią pierwsze niepowodzenia.

B. P. Dr. Zamenhof

W dniu 7-ym lutego zmarł na atak sercowy znany szeroko lekarz-publicysta, nasz serdeczny przyjaciel i współpracownik naszego pisma dr. Leon Zamenhof.

Społecznik w najlepszem tego słowa znaczeniu, czynny członek wielu stowarzyszeń, oddany szlachetnej idei braterstwa narodów, stanął w szeregu pierwszych pionierów języka Esperanto, tłumacząc nań cały szereg utworów Reymonta. Ogromne wrażenie w świecie wywołało jego świetne tłumaczenie na Esperanto „Protesilas i Laodamia“ Wyspianskiego.

Jako lekarz b. p. dr. Zamenhof zajmował się głównie chorobami mowy i słuchu i wydał cały szereg prac na ten temat. Był jednym z założycieli instytutu dla głuchoniemych i przez 10 lat kierował tą placówką jako dyrektor.

Pozatem niejednokrotnie zabierał głos w sprawach społecznych, zawsze akcentując swe głęboko demokratyczne i pełne najszczerszej miłości człowieka stanowisko.

Obdarzony dużemi zdolnościami, utalentowany wszechstronnie piękny ten człowiek nigdy nie usiłował się wysunąć w głębokiem przeświadczeniu, że ta cicha, spokojna praca, którą pełni: sama przez się oddziałuje na otoczenie i zwolna krok za krokiem przeobraża życie ludzkie.

Tę wiarę Jego podzielamy. Przeobrażenie organizacji człowieczeństwa — to przeobrażenie człowieka. I żaden wysiłek w tym kierunku podjęty nie zmarnieje. Mogiła d-ra Leona Zamenhofa zostanie zawsze w pamięci tych, którzy ludzkość kochają, jako jeden z etapów naszej ciężkiej walki o przyszłość.

Niechaj ta ziemia, którą kochał całem sercem, której genjusz rozsławiał na świat, lekką Mu będzie. Cześć świętej pamięci Bojownika.

Ustawa o scaleniu Ubezpieczeń Społecznych

Z dniem 1 stycznia 1934 r. obowiązuje nowa ustawa o ubezpieczeniu społecznem, zwana powszechnie „scaleniową“, z dnia 28 marca 1933 r., ogłoszona w Nr. 51 Dzienn. Ustaw poz. 396. Jest to bardzo obszerna ustawa o 320 artykułach, a wydane w ostatnim okresie rozporządzenia wykonawcze zawierają niemal drugie tyle artykułów, przeto szczegółowe omówienie całokształtu nowych przepisów w jednym artykule jest niemożliwe, należy więc ograniczyć się do zasad i ogólnego ich scharakteryzowania.

Do roku 1934 na terenie Polski istniało kilka różnych instytucji ubezpieczeniowych, działających na podstawie bądź dawnych ustaw państw zaborczych, bądź na podstawie wydanych po roku 1918 przez Państwo Polskie. Obecnie wszystkie dziedziny ubezpieczeń społecznych zostały zespolone, scalone, w jedną organizację, która w ten sposób obejmuje ubezpieczenia: na wypadek choroby i macierzyństwa, od wypadków i chorób zawodowych oraz emerytalne, na wypadek starości lub niezdolności do pracy. Normuje ona ubezpieczenie pracowników fizycznych i umysłowych, przytem odnośnie tych ostatnich dawne przepisy pozostają w mocy, a nowe regulują jedynie organizację instytucyj ubezpieczeniowych oraz częściowo postępowanie przed nimi.

Nowością ustawy z dn. 28.III.33 r. jest ubezpieczenie emerytalne dla robotników istniejące dotąd tylko na terenie ziem zachodnich, a obecnie obejmujące teren całego Państwa oraz ubezpieczenie na wypadek niezdolności do zarobkowania, spowodowane chorobą zawodową.

Obowiązkowi ubezpieczenia podlegają wszyscy bez różnicy płci i wieku o ile pozostają w stosunku służbowym lub w stosunku pracy najemnej, a również chałupnicy, terminatorzy, praktykanci, krewni i powinowaci pracodawcy z wyjątkiem małżonka oraz więźniowie — zatrudnieni w przemyśle, handlu, instytucjach prywatnych, państwowych lub samorządowych i rolnictwie, i u osób prywatnych. Wskutek tego działaniu ustawy podlegać będą pracownicy przedsiębiorstw państwowych, samorządowych i t. p. Charakter pracy i zajmowane stanowisko nie odgrywa roli, jak również wysokość zarobków. Co do tych ostatnich ustawa znosi dawniej obowiązujące grupy zarobkowe i wprowadza stawkę procentową. Pracownicy rolni korzystają nie ze wszystkich form ubezpieczenia, a tylko z niektórych, zależnie od tego, w której z byłych dzielnic pracują. Tak więc teren b. ziem zachodnich korzysta z największych praw (ubezpieczenie emerytalne, od wypadków, chorobowe), natomiast teren b. zaborów austryjackiego i rosyjskiego korzystają jedynie z ubezpieczenia

od wypadków, przytem pracownicy umysłowi również z ubezp. emerytalnego i na wypadek braku pracy, a odnośnie ubezpieczenia chorobowego, mają prawo do pomocy leczniczej, udzielanej przez pracodawców.

Organizacja instytucji ubezpieczeniowych przedstawia się następująco. Najniższą t. j. najbliższą ubezpieczonych instancją jest Ubezpieczalnia Społeczna (ogólna ilość 67), która przyjmuje wszelkie roszczenia o świadczenia, przyjmuje zgłoszenia ubezpieczonych, wymierza, inkasuje składki i t. p. czynności bądź określone w ustawie i statucie, bądź też zlecone jej przez poszczególne zakłady. Poza Ubezpieczalniami istnieją następujące Zakłady: Ubezp. na Wypadek Choroby, od Wypadków, Emerytalnego Robotników i Pracowników Umysłowych. Działają one w swoich zakresach, t. j. przyznają świadczenia, prowadzą lecznictwo zapobiegawcze i t. p., bądź bezpośrednio, bądź przez Ubezpieczalnie. Nad Ubezpieczalniami i Zakładami bezpośredni nadzór oraz uzgadnianie polityki ubezpieczeniowej i działalności poszczególnych instytucji wykonywa Izba Ubezpieczeń Społecznych. Zwierzchni nadzór nad całą organizacją ubezpieczeń społecznych posiada Minister Opieki Społecznej.

Składki opłaca się od faktycznego zarobku, do którego wlicza się wszelkie dodatkowe wynagrodzenia ewent. świadczenia w naturze, ale ustawa przewidziała pewne maksimum zarobków, a nadwyżka ponad to maksimum jest wolna od składek. Normy zarobków są następujące: dla pracowników umysłowych 725 zł. mies., w ubezpieczeniu chorobowem i od wypadków zł. 174 tygodniowo, w ubezpiecz. emerytalnem robotników zł. 72 tygodniowo. Składki wynoszą: ubezpieczenie chorobowe prac. umysłowi 4,6%, robotnicy 5% zarobków tygodniowych, płatnych po połowie przez pracodawcę i pracownika; ubezpieczenie robotnicze emerytalne 5,2% (pracodawca 1,9%, pracownik 3,3%), w górnictwie i hutnictwie 5,8%; 2% i 3,6%); ubezpieczenie od wypadków — składka zależna jest od stopnia niebezpieczeństwa pracy, płatna przez pracodawcę; ubezpiecz. pracowników umysłowych — emerytalne 8%, na wypadek braku pracy 2,8%.

Świadczenia instytucji ubezpieczeniowych są następujące: pomoc lecznicza (do 26 tygodni), zasiłki chorobowe (do 26 tygodni w wysokości 50% przeciętnej płacy), leczenie szpitalne, zasiłki domowe i szpitalne, zasiłki pogrzebowe, zasiłki położnicze i leczenie, renty dla niezdolnych do pracy wskutek wypadku lub choroby zawodowej wraz z dodatkami, oraz renty inwalidzkie dla robotników, składające się z renty zasadniczej i indywidualnej, oraz świadczenia dla pracowników umysłowych, według przepisów dotąd obowiązujących.

J. R.

Stabilizacja zła

Kryzys gospodarczy odbija się ujemnie — w większym lub mniejszym stopniu — na wszystkich dziedzinach naszego życia społecznego, uwydatniając liczne niedomagania młodego państwa i utrudniając wysiłki, zmierzające do usunięcia tych niedomagań. Ze szczególną siłą odczuwa skutki kryzysu nasze szkolnictwo powszechne, którego potrzeby, stale wzrastające, trudne były do zaspokojenia nawet w okresie dobrej konjunktury, a które obecnie znalazło się w sytuacji wręcz tragicznej. Na lata kryzysowe przypadło bowiem największe nasilenie zwiększonego powojennego przyrostu liczby dzieci w wieku obowiązku szkolnego.

Do roku 1928/29 trwał proces zmniejszania się tej liczby naskutek wchodzenia w wiek obowiązku szkolnego wyjątkowo nielicznych roczników dzieci, urodzonych w czasie wojny, to też w tym okresie, przy powoli wzrastającej liczbie uczniów, szybko rósł współczynnik realizacji nauczania początkowego, a jednocześnie możliwe było stałe podnoszenie poziomu organizacyjnego szkół. Gdy w roku szk. 1922/23 z pośród 4.852 tys. dzieci w wieku obowiązku szkolnego uczęszczało do szkół 3.345 tys. czyli ok. 69%, to w r. szk. 1928/29 na 3.706 tys. dzieci spełniało obowiązek szkolny 3.572 tys., t. j. przeszło 96%. Gdy w r. szk. 1922/23 szkoły 1-oklasowe stanowiły 63,5%, a 7-mioklasowe tylko 7,1% ogólnej liczby publicznych szkół powszechnych, to w r. szk. 1928/29 stosunki te wyrażały się liczbami 47,1% i 9,8%. (Późniejsze podnoszenie się poziomu szkół, notowane przez statystykę aż do roku 1930/31, jest raczej pozorne, bowiem wobec gwałtownego wzrostu liczebności szkół nawet w szkołach o formalnie wyższym stopniu organizacyjnym warunki nauki ulegały już w tym okresie pogorszeniu).

Od roku szk. 1929/30 liczba dzieci w wieku obowiązku szkolnego zaczyna gwałtownie wzrastać, przewyższając w roku szk. 1932/33 5 miljonów. Jednocześnie pogarszają się warunki gospodarcze, zmuszając państwo do znacznej redukcji budżetu oświatowego. W rezultacie stoimy — powiedzmy to otwarcie — wobec zagadnienia *kryzysu szkolnictwa powszechnego*. Stopień realizacji nauczania początkowego spadł z 94,4% w r. 1928/29 do 93,9% w 1931/32, a w latach następnych prawdopodobnie znacznie niżej. Około pół miljona dzieci pozostaje poza szkołą. Liczba nauczycieli pozostaje od paru lat na niezmienionym poziomie, liczba uczniów wzrosła tymczasem prawie o miljon, skutkiem czego obciążenie nauczyciela doszło do nienotowanych dotychczas rozmiarów. W roku szk. 1931/32 przeciętna dla całej Polski wynosiła 58,3 uczniów na 1 nauczyciela (w r. 1922/23 — 53,0, w 1928/29 — 49,5); a na wsi nawet 61,5 ucz., (w r. 1922/23 — 58,5; w 1928/29 — 53,4). W niektórych rejonach, jak np. w szkołach wiejskich woj. stanisławowskiego i tarnopolskiego, na 1 nauczyciela przypada *przeciętnie* przeszło 70 uczniów. W tych warunkach, rzecz jasna, wartość nauki ulega znacznemu obniżeniu, przy panującej zaś obecnie tendencji do usuwania ze szkoły dzieci starszych roczników dla zrobienia miejsca młodszym, szkoły niżej zorganizowane muszą wypuszczać w świat półanalfabetów, którzy w okresie rekruckim będą się na nowo uczyli czytać i pisać.

Proces podnoszenia poziomu organizacyjnego szkół powszechnych został zahamowany. Już w r. szk. 1931/32 wzrósł — w porównaniu z rokiem poprzednim — odsetek szkół 1-noklasowych w stosunku do ogółu szkół (z 43,2% na 44,6%). Faktyczna organizacja szkół obniża się w szybkiem tempie niż formalna, bowiem przy utrzymaniu nominal-

nie niezmienionego stopnia organizacyjnego w znacznej ilości szkół zmienił się stosunek liczby uczniów do liczby nauczycieli, będący istotnym elementem określania stopnia szkoły. Dość wskazać na następujący przykład: według dotychczas obowiązujących przepisów szkoła 1-noklasowa powinna posiadać 1 nauczyciela i nie więcej niż 60 uczniów; przy liczbie uczniów od 61 — 100 szkoła winna już mieć 2 nauczycieli i organizację szkoły dwuklasowej. W rzeczywistości jest około 12 tys. szkół posiadających 1 nauczyciela (patrz „Wiadomości Statystyczne" r. 1934, zeszyt 2), ale w tej liczbie zaledwie około 3 tys. szkół, liczących mniej niż 60 uczniów, około 7 tys. szkół, liczących 61 — 100 uczniów i 1700 szkół, liczących ponad 100 uczniów. Dane te dotyczą roku szkolnego 1932/33. W roku bieżącym liczba uczniów w publicznych szkołach powszechnych wzrosła o 100 tys., co przy niezmienionej liczbie etatów nauczycielskich oczywiście wpłynąć musiało na dalsze pogorszenie warunków pracy szkolnej.

Sytuacja w szkolnictwie powszechnem, jak widać z przytoczonych cyfr, staje się poprostu katastrofalna. Niestety, najbliższa przyszłość nie zapowiada żadnych zmian na lepsze. Z początkiem roku szkolnego 1934/35 ma wejść w życie nowy statut szkoły powszechnej, ustanowiony rozporządzeniem Ministra W. R. i O. P. z dnia 21 listopada 1933 r., przewidujący dalsze pogorszenie obecnego stanu rzeczy.

Zasadnicze normy obciążenia nauczyciela wprawdzie stosunkowo niewiele odbiegają od dotychczasowych, jednak na okres „wyjątkowo trudnych warunków finansowych" (a dla szkolnictwa wyjątkowo trudne warunki trwać będą, wobec ogromu niezaspokojonych potrzeb, długie lata, nawet po poprawieniu się ogólnych warunków ekonomicznych) przewidywane są normy wyższe, mianowicie:

w szkole stopnia I o 1 nauczycielu — 80 uczniów; w szk. stopnia Io 2 naucz. — 140 uczniów; w szk. stopnia II o 3 naucz. — 180 uczniów; w szk. stopnia II o 4 naucz. 230 uczniów; w szk. stopnia III o 5 naucz. — 280 uczniów; w szk. stopnia III o 6 naucz. — 330 uczniów.

Normy te nietylko sankcjonują obecny stan rzeczy, ale otwierają perspektywę do dalszego jego pogorszenia. I to jest właśnie największe niebezpieczeństwo nowego statutu. Dotychczasowe bowiem ustawodawstwo szkolne było oparte na pewnych przesłankach natury przedewszystkiem pedagogicznej, zmierzało do zapewnienia nauczycielowi i uczniowi ustalonego doświadczalnie minimum warunków zewnętrznych, umożliwiającego owocną pracę — na drugim planie stawiając objektywne możliwości realizacji tych warunków. Rzeczywistość nie pozwoliła na wcielenie tego programu w życie, praktyka szkolna odbiegła daleko od zawartych w ustawach norm teoretycznych. Jednak świadomość istnienia tych norm, jako wytkniętego na dalszą metę celu, traktowanie rozbieżności między teorją i praktyką jako zjawiska przejściowego, wywołanego wyjątkowemi warunkami gospodarczemi i społecznemi, a zwłaszcza fatalnym spadkiem po zaborcach — były zarówno dla władz szkolnych, jak przedewszystkiem dla tego, kto najboleśniej na własnej skórze odczuwał te niedomagania, dla nauczyciela, stałą zachętą do pracy, podnietą do zdwojenia wysiłku doraźnego w nadziei poprawy w przyszłości.

Ustanowione obecnie normy podniety tej nie dają. O ile normy poprzednie dawały wyraz dążeniu państwa do przełamania trudnych warunków objektywnych, do kształtowania rzeczywistości stosownie do potrzeb — o tyle normy obecne są świadectwem ugięcia się przed trudnościami, podporządkowania wszelkich motywów pedagogicznych, społecznych, bezwzględnej supremacji czynnika ekonomicznego.

Przepracowanie nauczyciela, nikła skuteczność nauki szkolnej, sprzeczne z elementarnemi nakazami higjeny skupienie znacznej liczby dzieci w zbyt małym lokalu szkolnym — nie mają już być społecznym wyrzutem sumienia, z konieczności tylko i czasowo tolerowanem *odchyleniem* od obowiązujących zasad. Odtąd będą to zjawiska normalne i ustawowo przewidziane. I to właśnie wydaje się nam najbardziej niebezpieczne, oznacza bowiem *formalną* rezygnację — na długie lata — z podniesienia poziomu organizacyjnego naszego szkolnictwa powszechnego, ponad dzisiejszy poziom kryzysowy.

Rezygnujemy z marzeń — powie ktoś — które były nierealne, więc szkodliwe. Ale marzenia często dodają sił do walki, wzmagają rozpęd — a czasem prowadzą do wysiłków, pozwalających zrealizować napozór nierealne postulaty. Być może, są jakieś środki, jakieś sposoby nadzwyczajne, które pozwoliłyby nam jednak pomimo wszystkich kryzysowych niedostatków i kłopotów, jakoś dopomóc naszemu szkolnictwu powszechnemu w tak wyjątkowo ciężkiej dla niego sytuacji — być może, byłoby nam łatwiej te środki spostrzec i zastosować, gdybyśmy — wbrew wszystkiemu — nie rezygnowali z tego „marzenia". *M. C.*

U początku dobrej drogi

Dyskusja, prowadzona od dłuższego już czasu na łamach „Człowieka w Polsce", a omawiająca nowe zadania społeczne pracowników umysłowych i związane z tem nowe dla nich możliwości zarobkowe, zaczyna dawać widoczne rezultaty.

Jako jeden z uczestników tej dyskusji otrzymałem w ostatnich tygodniach trzy propozycje wygłoszenia na ten temat odczytów. Audytorja miałem różne, raz — pracowników przemysłowych, handlowych i bankowych, innym razem — t. zw. biuralistów, wreszcie na trzeciem zebraniu słuchaczami byli ludzie wyłącznie z akademickiem wykształceniem.

Pierwsze i trzecie zebranie dały mi, jako prelegentowi nieskończenie większe zadowolenie, aniżeli drugie. Biuraliści prawie że nie zareagowali: ich głowy, nastawione na czynności bierne, — powiedziałbym — społecznie w sumie więcej szkodliwe, niż pożyteczne, nie chciały się otworzyć na żadną świeżą myśl. „Prowincja nas nie ciągnie. Nie widzimy tam dla siebie żadnego zastosowania". Najwidoczniej dobrze czują się tylko wśród swoich papierków. Wolą już to życie siedzące, niemrawe, zatęchłe, ale przynajmniej nieodpowiedzialne.

Oto przeważające zdanie wśród tych, których możnaby nazwać, trawestując rosyjskie określenie, „ludźmi pierwszego". I oni to właśnie podlegają największemu i najbardziej długotrwałemu bezrobociu.

Pracownicy przemysłowi, handlowi i banko-

wi zareagowali goręcej. W dyskusji omawiane były możliwości, związane z rozwinięciem handlu artykułami rolnemi, spółdzielczości, ściślejszego powiązania handlowego miast ze wsią, przetwórczości rolnej, a nawet hodowli drobiu, zwierząt futerkowych, kwiaciarstwa, owocarstwa, pszczelnictwa i t. p. Byłem poprostu mile zdziwiony dojrzałością i poziomem debaty, gdyż ujawniło się w niej, że nie mówiłem rzeczy tak znów bardzo nowych dla moich słuchaczy, lecz że myśli te kiełkowały już w nich oddawna.

Najcięższą rolę — początkowo — miałem na zebraniu z elitą umysłową. Jako doświadczony prelegent poczułem mur między sobą a słuchaczami. Najwyraźniejsza niechęć zapanowała na sali. Nie umiałem na audytorjum zagrać, a przecież jest to sprawa naogół tak łatwa! Zachowanie się zebranych najwyraźniej mówiło, że wolą zarabiać mniej w warunkach wysokiej kultury, niż więcej w zapadłej dziurze prowincjonalnej.

W pewnych jednak momentach audytorjum przestało zachowywać się sennie, — intuicja nakazała mi porzucić grunt ściśle ekonomiczny i zarobkowy. Na dźwięk wyrazów: kultura, konieczność podniesienia kultury prowincji i wsi — słuchacze zareagowali. Poczułem, że kontakt został nawiązany. Posypały się ciekawe, nieraz głębokie odpowiedzi i zarzuty, a wszystkie je łączyła zasadnicza cecha: zagadnienie społeczne.

Jeden ze znanych lekarzy wskazał na charakterystyczne, choć przypadkowe zestawienie. Oto w Polsce mamy około 72% lekarzy, zarabiających poniżej inteligenckiego minimum, i 73% ludności pozbawionej opieki lekarskiej. Znachorstwo natomiast rozkwita.

Któryś z pracowników przytaczał wysokość zarobków, zwłaszcza aplikantów i młodych adwokatów: 200 zł. miesięcznie, oto szczyt marzeń przy całodziennem nieraz ślęczeniu w sądzie za pięcio — dziesięciozłotowe honorarjum. I przytem prawie żadnych dla większości horyzontów na przyszłość oraz minimalna satysfakcja zawodowa i społeczna.

W tym miejscu pewien wyższy urzędnik państwowy opowiedział o niedawnem poszukiwaniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych kandydatów na sekretarzy gminnych w związku z reorganizacją samorządu. Trzeba było podobno zdecydować się na kilkotygodniowe przeszkolenie „inteligentów" z kilkoklasowem wykształceniem i na obsadzenie tego poziomu pracownikami dość licznych posad, dających około 200 zł. miesięcznie i szerokie możliwości wywierania dodatniego lub ujemnego wpływu na całą okolicę.

Absolwent szkoły handlowej wspomniał o autentycznym fakcie, stwierdzonym przez niego we wsi poleskiej, gdzie spotkał dzieci, które nie znały smaku cukru. Inżynier-rolnik mówił o stanie kultury gospodarczej na wsi. Inny lekarz wymienił osadę, liczącą około 18.000 ludności, do której aptekarz poszukuje nadaremnie od kilku miesięcy lekarza, zapewniając mu u siebie przez pierwsze pół roku utrzymanie i mieszkanie.

Inteligencja tonie w niedostatku, wieś tonie w ciemnocie, zespolenie tych dwóch elementów podniesie kulturę i dobrobyt. Zagadnienie to zaczyna coraz bardziej interesować społeczeństwo. Jesteśmy więc u początku dobrej drogi. Fala z wielkich miast powoli szykuje się do odpływu.

Sztuka dla mas

„Pion" poświęcił osobną kolumnę architekturze, oddając jej redakcję historykowi sztuki p. A. Wieczorkiewiczowi. Inowację tę witamy z całem uznaniem, zagadnienie to bowiem ma ogromne znaczenie społeczne.

Sztuka ucieka od mas. Dawniej każdy miał ją w kościele, który górował nad domkami, lepiankami, ruderami. Wnętrze jego zdobiły najwspanialsze obrazy, najpiękniejsze rzeźby epoki — organy brzmiały głębokim tonem oratorjów. Dziś — malarstwo i rzeźba dawno skryły się w salach wystaw wszelkiego rodzaju do których broni wstępu złotówka czy dwuzłotówka; muzyka uciekła do teatru i filharmonji i tam również obwarowała się przez wysokie opłaty. W kościołach rozpanoszyła się brzydka tandeta potęgowana przez pozbawionych smaku gospodarzy, lękających się wszystkiego, co jest nowe. Na ulicy został budynek „budowla publiczna" — ale i ta, u nas w Polsce, coraz bardziej stanowczo ucieka do „dzielnic reprezentacyjnych". Rzadko tam zagląda człowiek z Woli, czy Pragi — bo mu niejako świecić łatami. Prześliczny gmachMinisterstwa Oświaty ma bawić oczy dyplomatów (tak jak rznąć ich oczy ma haniebna dorobkiewiczowskiej pychy pełna buda Banku Gosp. Kraj.).

A dzielnice pracujących? Ha! naprzykład plac Narutowicza. Żadna złośliwość endecka nie wyrządziła by tak dotkliwej krzywdy pamięci pierwszego Prezydenta — Inżyniera! Po jednej stronie kościół romański. Naprzeciw obrzydliwa kamienica a la 8-e dziesięciolecie zeszłego wieku z secesyjnemi pretensjami. Obok ponure bryły domu plastyków. W obramowaniu gotyckich domków profesorskich jeszcze dalej stoi potworna paka domu akademickiego. Dodano do tego przykrą czynszówkę i baraczek szkoły powszechnej, a ku ostatecznemu ukoronowaniu ohydy wzniesiono drewnianą dzwonnicę „zakopiańsko-kołomyjską". Błota wszędzie quantum satis.

Oto robota Warszawy w Polsce Niepodległej. Oto jest kształcenie poczucia piękna w człowieku — w szerokich masach. Taką cyniczną barjerę ustawiono do przyszłej Świątyni Opatrzności, która pochłonie duże dziesiątki miljonów ku ozdobie znów dzielnicy reprezentacyjnej.

„Pion" zajmuje się sprawą pomnika peowiaków... Dobry, piękny, niech będzie, omawia celową architekturę... cudownie. Ale... niech no taki lotnik Wittiga stanie nie pośród ośmiopiętrowych murowanic lecz pośród ruder wolskich. Tożby rwał oczy! Tożby rwała za nim cała dzielnica! Tożby go ludzie kochali! Tysiące krzyczały by wtedy „nasz Wittig!" (Dziś kręci się nosem). Co? Absurd.

Niech będzie — tylko trzeba pomyśleć o reformie pod tym względem, abyśmy naszych obywateli kształcili, a nie bawili dyplomatów. „Pion" ma wielkie pole do omawiania tych spraw fachowo.

Zdarzenia i uwagi

SPRAWA MIESZKANIOWA.

Ankieta przeprowadzona przez Towarzystwo Reformy Mieszkaniowej wykazała, że 35% małych mieszkań w Warszawie jest w stanie złym, wymagającym natychmiastowego remontu. Właściciele kamienic tłumaczą się, że tego remontu uskutecznić nie mogą ze względu na olbrzymie zaległości komorniane wskutek bezrobocia.

Tymczasem ceny mieszkań w domach nowych są bardzo wysokie. I tak jednoizbowe mieszkanie w śródmieściu kosztuje 130 zł., na Woli 76 zł., na Pradze 47 zł. Dwuizbowe mieszkania w śródmieściu 190 zł., na Woli 86 zł., na Pradze 79 zł., na kolonjach Lubeckiego i Staszica 158 zł., na Żoliborzu 100 zł. Trzyizbowe mieszkania są już stosunkowo o wiele tańsze, bowiem w śródmieściu cena ich wynosi 200 zł., a na najdroższej kolonji Lubeckiego 195 zł.

Jeżeli uwzględnimy fakt, że zarobek dzienny, wyznaczony przez Fundusz Pracy na robotach sezonowych, inwestycyjnych wynosi 3 zł. dziennie, to zrozumiemy, że człowiek pracujący nie może marzyć o mieszkaniu w domu nowym nawet na Woli i Pradze. Jest to dalsze potwierdzenie faktu, że sprawą budowy domów muszą się zająć instytucje publiczne, że inicjatywa prywatna nic tu nie poradzi.

AKCJA BUDOWY MNIEJSZYCH MIESZKAŃ.

Fundusz Inwestycyjny, wraz z Funduszem Pracy i Bankiem Gospodarstwa Krajowego mają przystąpić do budowy małych mieszkań dla rodzin niezamożnych, których zarobek nie przekracza 250 zł., miesięcznie. Domki mają być budowane na sprzedaż i na wynajęcie. Cena budowy ubikacji wynosi według kosztorysu 4 — 5 tysięcy złotych. Na cel ten przeznaczono kredyt w wysokości 5 miljonów złotych, co stanowi jakich tysiąc izb. Wykonanie robót i sprzedaży będzie powierzone specjalnemu towarzystwu z ograniczoną odpowiedzialnością, do którego wejdą wspomniane instytucje.

Akcja pożyteczna, ale, niestety, zbyt szczupła. Tysiąc izb mieszkalnych to mało — to więcej niż mało. O wiele mniej niż trzeba, a nawet niż można.

Druga sprawa — to koszty. Zwracaliśmy już uwagę, że aby je obniżyć rzeczą niezbędną jest poprostu uciec się do wielkiego konkursu, choćby nawet bardzo kosztownego, którego zadaniem byłoby obniżenie ceny budowli. Wreszcie nieodzownym warunkiem powodzenia akcji na wielką skalę jest standaryzacja poszczególnych elementów budowy. To wszystko zaś jest możliwe, jeżeli nie poprzestaje się na określeniu wydatku jednorazowo na pięć albo dziesięć miljonów, ale opracowuje plan kilkoletni, który daje podstawę do zawarcia stałych umów z ewentualnymi dostawcami, umów, któreby umożliwiły im przeprowadzenie nawet pewnych inwestycyj celem dostosowania produkcji do przedłożonych potrzeb. Jeżeli wszystkiego tego się nie uwzględni, to cała akcja będzie nosiła charakter tymczasowości, prób, z których już powinniśmy wyjść nareszcie.

TYFUS.

Tyfus, który wybuchł w warszawskich domach noclegowych można narazie uważać za zwalczony. Nowych zachorowań niema, a osoby umieszczone w kwarantannie zostały już zwolnione.

Nauczone doświadczeniem władze sanitarne mają wydać szereg przepisów o domach noclegowych. Każdy zgłaszający się będzie musiał oddać ubranie w szatni, następnie poddać się kąpieli, poczem dostanie szlafrok lub piżamę, w której uda się na spoczynek. Rano, oddając szlafrok uzyska swe ubranie, w którem wyjdzie na miasto.

Łącznie z tem domy noclegowe muszą być zaopatrzone w odpowiednią ilość koców, gdyż spanie w samej piżamie bez przykrycia jest nie do pomyślenia, a piżamy czy szlafroki będą codzień dezynfekowane. Wydział Opieki Magistratu projektuje również zorganizowanie opieki indywidualnej nad pensjonarjuszami domów.

Zwracamy uwagę, że zwalczanie tyfusu w domach noclegowych nie usuwa jego niebezpieczeństwa w brudnych, ciasnych, wilgotnych mieszkaniach przedmiejskich. Mamy nadzieję, że Czerwony Krzyż po ukończeniu czyszczenia baraków, w porozumieniu z innemi instytucjami opiekuńczemi przystąpi do poważnej akcji oczyszczenia mieszkań ubogiej ludności.

ZNIESIENIE SĄDÓW DORAŹNYCH.

Na posiedzeniu Komisji Budżetowej Senatu p. Minister Sprawiedliwości oświadczył, że zamierza w najbliższym czasie złożyć Radzie Ministrów wniosek o zniesieniu sądów doraźnych.

Oświadczenie to przyjmujemy z najwyższem zadowoleniem. Sądy doraźne według opinji najwybitniejszych znawców nie powstrzymują zbrodniczości — zaś same przez się obrażają poczucie moralne, decydując bezapelacyjnie o najwyższych dobrach człowieka, jakiemi są życie i wolność w trybie przyśpieszonym, w warunkach, kiedy naprawdę niemożliwością jest ogarnąć całkowicie sytuację.

Ze stanowiska społecznego sądy doraźne wprowadzają w całość życia moment niepokoju, tymczasowości, wytwarzają warunki nienormalne, niemal wojenne. Opinja publiczna żyje w ciągłem naprężeniu, w oczekiwaniu czegoś, czemu tak nadzwyczajne, drakońskie środki mają zaradzić. Lata idą, a to coś nadzwyczajnego nie przychodzi. I wtedy nie znajdujemy usprawiedliwienia dla tego wojennego środka.

Widocznie, że sfery rządowe to zrozumiały. Zapowiedź p. Min. Michałowskiego przyjmujemy zatem z dużem zadowoleniem. Pozostaje jeszcze wogóle sprawa kary śmierci. O tej pomówimy w swoim czasie nieco szerzej.

NIEWYZYSKANA DZIEDZINA.

Nasz obrót towarowy morski wynosi przeszło 12 miljonów tonn, z czego na Gdynię przypada połowa. Jest to olbrzymia praca transportowa, która dotąd leży odłogiem, gdyż nasz tonaż morski nie posiadający 60 tysięcy tonn, okrętów starych przeważnie, które dobrze pełniły swą rolę pókiśmy się uczyli, zaprawiali w rzemiośle morskie — nie jest w stanie uczynić zadość gospodarczym potrzebom państwa. Dziesiątki tysięcy ludzi mogło by tu znaleźć zatrudnienie.

Nasz handel morski domaga się budowy nowych okrętów. Ale każda jednostka pływająca jak dotąd — to nietylko wydatek budżetowy, to odpływ gotówki poza granice kraju. Okręty budowane u nas podniosłyby spożycie węgla, rudy, żelaza, stali — podniosły by zatrudnienie w naszych kopalniach, hutach, stalowniach.

Oto są te warunki społeczne, które nakazują nam jeszcze raz podnieść zagadnienie planu morskiego Rzeczypospolitej — planu, bez którego żadne poczynania gospodarcze są bezwzględnie niemożliwe.

Plan ten rzuca ostatnio „Kurjer Poranny", proponując wybudowanie w ciągu lat dziesięciu floty wojennej 100.000 tonn i handlowej w ciągu lat 20 — 1.000.000 tonn. Wszystko to wykonać ma nasza własna stocznia, którą według autora należy zbudować w Gdyni w ciągu najbliższych lat trzech kosztem 50 miljonów złotych. Autor domaga się u-

życia kapitałów wyłącznie polskich częściowo rządowych, częściowo prywatnych, ciężkiego przemysłu.

SPRAWA WĘGLOWA.

Konferencja Międzynarodowego Biura Pracy zdecydowała zwołać specjalne zgromadzenie przedstawicieli wszystkich trzech grup (robotniczej, rządowej i pracodawczej) siedmiu państw najbardziej zainteresowanych w sprawie czasu pracy w przemyśle węglowym. Do udziału w niej będą zaproszeni przedstawiciele Polski, W. Brytanji, Niemiec, Belgji, Francji, Holandji i Czechosłowacji. Delegaci innych państw nadesłać mogą tylko obserwatorów bez prawa głosu.

Każde omawianie sprawy węgla na forum międzynarodowem zbliżać nas musi do zawarcia układu węglowego. Dzisiejszy stan wojny pomiędzy Polską a Anglją, wojny, która prowadzi do tego, że węgiel polski przedziera się na obszar samej W. Brytanji i sprzedawany jest w Londynie, gdy tymczasem drogą wymuszenia niesłychanego wypiera go Anglja z rynków skandynawskich — przynosi obu stronom dotkliwe straty. Pokrywać je musi chłód dla szerokich rzesz biedaków, których nie stać na opłacanie niesłychanie drogiego opału. W tych warunkach nawet sprawa czasu pracy ma tylko podrzędne znaczenie.

Strona polska niejednokrotnie proponowała już zawarcie kompromisu handlowego, który jedynie może stanowić podstawę do każdego innego, a odrzucano go jednak stale przez przemysł węglowy angielski. A jednak tak dalej trwać nie może. Sprawa kompromisu winna być narzucona stronie angielskiej, jako kierunek do rozmów na temat tego, co dotyczy poziomu życia.

POGOTOWIE RATUNKOWE.

W ostatnich czasach zanotowaliśmy kilka rażących wypadków odmowy pomocy przez telefon ze strony Pogotowia Ratunkowego Kasy Chorych. Odmowa nastąpiła nawet pomimo interwencji lekarskiej. Nie wchodzimy w powody — stwierdzamy tylko, że tego rodzaju pogotowie traci całkowicie swą wartość. Otóż nasuwa się pytanie, czy wogóle Kasa Chorych potrzebuje pogotowia? Czy nie byłoby stokroć racjonalniej zwinąć pogotowie własne poprostu wesprzeć istniejące od lat kilkudziesięciu pogotowie Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej. Nie ulega wątpliwości, że koszt takiego porozumienia byłby znacznie mniejszy, niż utrzymywanie własnych dyżurów, własnego taboru itd. itd. Nie ulega też absolutnie żadnej wątpliwości, że sprawność starego, warszawskiego pogotowia jest bez porównania większa od kasochorskiego.

Przypuszczamy, że po wprowadzeniu ustawy scaleniowej może ubezpieczalnie zdrowia nie będą już tak zachłanne i rozważą sprawę przekazywania całego szeregu agend zakładom lepiej wyspecjalizowanym w danych dziedzinach.

NOWY OBÓZ PRACY.

W Nowojelni pod Nowogródkiem, staraniem wojewódzkiego Funduszu Pracy i Organizacji młodzieży pracującej powstaje nowy obóz pracy, który skupić ma około 150 uczestników. Obóz daje uczestnikom wyżywienie. Ubrań i obuwia dostarczać będą własne warsztaty, czyli w obozie będzie przeprowadzona jaknajdalej idąca samowystarczalność. Fachowcy mają otrzymywać po 50 gr. dziennie na książeczkę oszczędnościową P. K. O., które podnieść będą mogli dopiero po wyjściu z obozu.

Wiadomości te są jeszcze zbyt szczupłe, żeby ustosunkować się do nich należycie. W każdym razie zwracamy uwagę na jedno, oto, że koszt takiego obozu tak mało różni się od dniówki robotnika zatrudnionego przy robotach publicznych, że trudno gospodarczo uzasadnić ich powstawanie. Nowogródzki obóz może wnieść coś nowego do tej sprawy. Inicjatywa w tym kierunku jest niezbędna.

WALKA Z ŻEBRACTWEM.

Do dnia 25 z. m. sąd do spraw żebraczych wydał orzeczenie w sprawie 206 osób zatrzymanych przez policję. Ilość żebrzących na przystankach tramwajowych też zmniejszyła się zupełnie widocznie. Nie zmalała natomiast ilość żebraków nocnych, zwłaszcza przed różnego rodzaju lokalami restauracyjnemi. Sporo też pozostało kalek na ulicach, których należałoby umieścić jak najprędzej w zakładach.

CENY.

Ruch cen wykazuje niestety dotąd ogromną ilość nienormalności. Jeżeli ceny w roku 1928-ym przyjąć za 100 — to ogólny poziom ich wynosi dziś 68,7 wobec 72,2 w styczniu zeszłego roku. Najbardziej spadła żywność — bo do 56,5 (57,4 styczeń 1933). Odzież i obuwie kosztuje 59,9 (64,6 r. z.). Ale za to opał i światło utrzymały się prawie na dawnym poziomie — 95,9. Spadła właściwie tylko cena elektryczności. Węgiel trzyma się mocno — choć płace górników spadły bardzo wydatnie. Komorne wzrosło w cenie o 59% przeszło, a alkohol i tytoń o 1%.

Jak widzimy tu działalność rządu nie dała należytych wyników. W większych miastach należy wziąć pod uwagę jeszcze sprawy komunikacji miejskiej. Gdzie ceny tylko zwyżkują. Na wszystko to należy zwrócić nieco więcej uwagi, gdyż dysproporcja cen, czy jak się to modnie nazywa, nożyce, zupełnie rujnują kalkulację budżetów domowych.

A trzeba zwrócić uwagę, że sposobność do obniżenia komornego nawet w nowych domach jest. Przecież te domy dostały znaczne ulgi w spłatach. Ulg tych lokatorzy prawie nie odczuli.

ZMIANA SYSTEMU.

W Łodzi miejscowy Fundusz Bezrobocia przystąpił do likwidacji szeregu kuchen. Na ogólną ilość dwunastu, trzy już zostały zamknięte. Bezrobotni zamiast obiadów będą dostawali suche prowianty, a mianowicie mąkę, kaszę, cukier, słoninę, kawę, mydło i węgiel.

Za tego rodzaju postawieniem sprawy przemawia kilka względów. Po pierwsze standaryzowane obiady wskutek swej jednostajności oddziałują niejednokrotnie szkodliwie na zdrowie. Po drugie pobieranie w różnych kuchniach i z różnych instytucyj gotowanej strawy rozbija życie rodzinne. Po trzecie wreszcie gotowanie obciąża żywność pewnym dodatkowym kosztem. Z tych względów działalność kuchen należy ograniczyć do pewnego stopnia. Aby jednak ograniczenie to nie odbiło się szkodliwie na sprawie, należy je oprzeć na opiece indywidualnej.

SPRZEDAŻ OBIADÓW.

Już od dłuższego czasu obserwowano, że niektórzy bezrobotni sprzedają obiady, pobierane w kuchniach pomocy społecznej. Naogół było to traktowane, jako dowód względnej zamożności i sprzedających uznawano za niepotrzebujących pomocy. Pilniejsze badanie tego zagadnienia wykazało przecież coś zupełnie innego. Oto sprzedają swe obiady przeważnie ci, którzy nie mogą ich strawić ze względu na zbytnią jednostajność fabrykowanego jedzenia (choć objektywnie dobrego). Za uzyskaną gotówkę kupują oni tylko żywność. Fakty te nasuwają konieczność zastąpienia strawy gorącej przez paczki suche, których dotąd teorja radziła unikać. Oczywiście wymaga to daleko idącej indywidualizacji pracy dożywiania, jak wogóle i całości opieki, a przedewszystkiem poczynienia bardzo poważnych rozluźnień w dzisiejszej standaryzacji żywienia.

Wyzwolenie człowieka)*

II.

W rozważaniach swoich p. dr. Spasowski stale gmatwa pojęcia religji i kościoła. I jedno i drugie służy według niego celom wyzysku, jest narzędziem w rękach klasy posiadającej. Mniejsza o to, że motto do jednego z rozdziałów książki o własności będącej kradzieżą, a wzięte od rodziciela anarchizmu, Proudhona, w gruncie rzeczy wywodzić się może również od Jana Złotoustego, świętego kościelnego, co wskazywałoby, że nawet najpotężniejszy z istniejących kościołów — nie zawsze stawał po stronie owej klasy. Ale nawet jeżeli to pominiemy — to znów będziemy musieli stwierdzić, że kościół bynajmniej nie był narzędziem, stanowił on samoistną potęgę, a że przesiąknięty był i jest w znacznej mierze ideologją społeczną klasy posiadającej, to bynajmniej nie dlatego, że stanowił jej posłuszne narzędzie, lecz dlatego, że ona właśnie wsiąkała w hierarchję kościelną w miarę jej rozrostu. Upraszczanie, na jakie sobie pozwala p. Spasowski nie prowadzi do poznania tej sprawy, lecz owszem, zaciemnia ją w sposób niesłychanie szkodliwy, przesłaniając zjawiska rewolucyjne pewnych idei.

Jeżeli chodzi o samą religję, to już tu znajdziemy coś biegunowo przeciwnego dowodzeniom Autora. Wystarczy wziąć do ręki wielką historję socjalizmu, która w swoim czasie wychodziła pod redakcją Kautskyego (jeżeli się nie mylę). Toż właśnie tam, a nie gdzieindziej, jest wywód idei socjalistycznej od komunizmu przeróżnych sekt chrześcijańskich. Ile razy tylko religja zrywała z oficjalną organizacją swojego wyznania, zawsze wracała do ewangelicznej zasady równości i braterstwa, którego nie mogą naruszyć wyrwane złośliwie cytaty, choćby nawet z „Ojcze Nasz" zaczerpnięte. I nie życzyłbym p. Spasowskiemu, aby ktokolwiek z jego dziełem obchodził się tak, jak on z Ewangelją.

Boć w tem dziele jest sporo sprzeczności i to nie tylko pozornych. Ileż to razy Szanowny Autor twierdzi, że „z niczego nic powstać nie może". Z największą pasją piętnuje wobec tego wszelkiego rodzaju „brednie" o stworzeniu świata. Ale, kiedy przychodzi do tego początku — to bynajmniej nie zadawalnia się powiedzeniem „ignoramus", ale z całą swobodą dopuszcza myśl o „samorództwie". Doskonale. Więc życie samo siebie stworzyło?

Wspaniały dogmat! Ale niejedyny bynajmniej. P. Spasowski twierdzi, że wszelkie poznanie może być oparte na doświadczeniu. Ale nieskończoność czasu i przestrzeni jest aksjomatem, bo nikt nie udowodnił mu, że jest w tem początek i koniec. A więc jest absolut? Jest nieskończoność? I w tym wypadku p. Spasowski, aby pozbyć się wiary w nią potrzebuje dowodu, że jej niema. Ale i na tem nie koniec. P. Spasowski zna jeszcze jeden absolut — który nazywa „prawomiernością". (Po polsku nazywa się to zwyczajnie — ład). Jak widzimy więc, Olimp p. dr. Spasowskiego jest dość licznie zabożony. O ateizmie tu mowy być nie może. W gruncie rzeczy więc walka wcale nie zasadnicza o bezboże — tylko poprostu o innego boga, czy innych bogów. I aby zyskać argumenty do tej walki Szanowny Autor poprostu antopomorfizuje pojęcia religijne wszystkich wyznań poza swojem własnem, zapominając, że nawet katolicka filozofja całą siłę swą wytęża właśnie przeciwko antropomorfizowaniu Boga. P. Spasowski więc nie jest bynajmniej odosobniony ani w tem, ani w fanatyzmie. Tylko uczciwie przyjmując religijny punkt widzenia, nie zapierając się go wzorem Autora „Wyzwolenia człowieka", autorzy katoliccy są często o wiele wolniejsi.

Nie jest też p. Spasowski tak samotny, jak mu się czasem zdaje i pod innym względem. Tak samo, jak wszyscy przed nim, tak i on sam pragnie wychowywać młode pokolenie nie w wolności poglądów, ale w zupełnie określonym światopoglądzie, nie zostawiając mu bynajmniej swobody w urabianiu go. Tak samo narzucić chce p. Spasowski młodym umysłom swoje wyznanie wiary, jak wszyscy inni wyznaniowcy i — tak, jak inni chcieli urobić z młodzieży zwolenników starego ustroju — tak on chciałby uczynić z niej stronniczkę proletarjatu, który w drodze rewolucji rozwali obecny ustrój. Jak p. Spasowski wyobraża sobie to wszystko? jak może sądzić, że społeczność taka czy inna da się przekonać, iż najlepiej jest dać się wywieszać, najszlachetniej jest wychować dla siebie oprawców — to już trudno zgadnąć.

P. Spasowski z najwyższą nienawiścią mówi o całej przeszłości, potępiając ją zawsze ze stanowiska etycznego. W gruncie rzeczy jest to dziwne u zwolennika „prawomierności", wyznawcy konieczności. Jak dziwnem jest również owo wybieranie, co jest dobre (ewolucja), co jest jeszcze lepsze (rewolucja). Więc może być i tak i tak? Od czego to zależy? Od uświadomienia itd. — czyli koniec końców od woli? Przecież nie inaczej, jeżeli trzeba za tem wszystkiem agitować, namawiać. Ale jeżeli chodzi o pojęcie tej wolnej woli, to spotyka się ono u p. Spasowskiego z istnym stekiem inwektyw w rodzaju „absurd", „tępota" itd.

My z p. Spasowskim nie pójdziemy na grunt teorji, nie będziemy dociekać możliwości współczesnego pomiaru dynamiki ruchu i statyki elektronów. Bynajmniej. Stoimy na gruncie życia, na gruncie praktycznym. Należymy do szeregu działaczy. Przekonujemy ludzi. Przekonujemy i namawiamy do czynienia tak czy inaczej. Jeżeli namawiamy, to uznajemy możność z ich strony wyboru. A wybór jest aktem woli. I nie pójdziemy na żadne szacherki wewnętrzne. Tak jak p. Spasowski musi mieć dowód, że istnieje koniec przestrzeni, aby w ten koniec uwierzyć — tak my potrzebujemy niezbitego dowodu na to, że wolnej woli niema, aby w nią przestać wierzyć, aby ją przestać uznawać. Można bardzo uczenie dowodzić, że co innego przeznaczenie, a co innego determinizm, a jeszcze co innego „kismet" — ale w praktyce wszystko to jest to, co mi powiada, że działam tak nie dlatego, że chcę, ale dlatego, że pchają mnie ku temu odwieczne prawa „prawomierności".

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą zbadanie, w jakiem stopniu wychowanie, tradycja, odziedziczone skłonności itd. urabiają moją wolę, ale jest dla mnie ciekawe przedewszystkiem dlatego, że chodzi mi o jej wyzwolenie, o umiejętność walki z tem wszystkiem, o zdobywanie sobie niepodległości, o

*) Dr. Władysław Spasowski: „Wyzwolenie człowieka w świetle filozofji, socjologji pracy i wychowania ludzkości". Str. 573. Warszawa 1933. Nakł. F. Hoesicka.

rozszerzenie świadomości działania. Właśnie o to, co do czego powinno dążyć wychowanie, a co p. Spasowski pragnie zniwelować przez swój fanatycznie wybudowany dogmatyzm politeistyczny.

P. Spasowski mówi o wyzwoleniu człowieka! Otóż jeżeli pragnie go wyzwolić przez zastąpienie jednych dogmatów przez inne — to mu powiemy „medice, cura te ipsum". Nie od konstruowania dogmatów przystoi rozpoczynać pracę reformatorską, ale od otwierania szeroko drzwi do myślenia samodzielnego, które idzie ponad Tomaszem z Akwinu, ponad Kantem, ale i ponad materjalizmem, które nie obawia się powiedzieć nietylko ignoramus, kiedy chodzi o tryb życia bestyj głębinowych, ale ignorabimus, gdy chodzi o pojęcie nieskończoności.

Abyśmy nie popadli w „wagneryzm", ale ten, goetheowski. „Zwar weiss ich viel, doch kann ich Alles wissen". Nie, panie doktorze — wszystko dostępne dziś pozostawi jutro resztę. I zawsze ta reszta będzie większa od maleńkiego jądra naszej świadomości. Zawsze i zawsze poza nią dla pana będzie się rozciągać Olimp o zdefinjowanych zupełnie i ujętych w karby pańskiej djalektyki bożkach, a dla człowieka wolnego naprawdę — będzie tam Wielkość Nieznana — Absolutna, której osobowość określona być nie może — bo jest poza osobową w naszem tego słowa rozumieniu, bo nie istnieje dla Niej granica pmiędzy tem, co nas tak zasadniczo dzieli, pomiędzy „ja" i „ty", który się mieścisz w ogromnem nie ja.

Dogmatyzmem p. Spasowskiego musieliśmy się zająć, aby przyjść do jego pedagogji. Tu różnice będą, być może, nieco mniejsze, bo tu mówi nie teoretyk-wyznaniowiec, ale działacz pełen serca i ukochania człowieka. O tem pomówimy.

A. Uziembło.

Odcięcie od kultury

Polityka komunikacyjna magistratu warszawskiego staje się naprawdę niebezpieczna dla kultury i zdrowia mieszkańców, a w pewnych chwilach poprostu paraliżuje wszelką inicjatywę wychowawczą i higjeniczną. Wszystkie instytucje społeczne zetknęły się z tą sprawą już podczas organizowania tak zwanych półkolonij. Rzecz biorąc ze stanowiska ustawy, urządzanie ich powinno obciążać Magistrat. Niestety, z powodu przeróżnych „trudności", instytucja ta nigdy pod tym względem nie wywiązała się należycie ze swych obowiązków. Kolonje, ich ciężar spadały na Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej, na Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet lub inne zrzeszenia, które jakimś cudem poprostu zdobywały pieniądze i podejmowały pracę. Zawsze w takich razach wynikała sprawa komunikacji — sprawa przewozu dzieci na tereny półkolonijne, i po największej części nie pomagały żadne interwencje — tramwaje miejskie musiały otrzymać zapłatę. A więc miasto na tem, co musiało samo opłacać, potrafiło jeszcze zarabiać. Cały szereg kolonij musiano zwinąć przedwcześnie dla tego, że nie było możności płacenia za przejazdy tramwajowe, a przecież nie do pomyślenia jest pędzenie dziatwy z Pragi na Wierzbno piechotą.

To są kłopoty wakacyjne, o których wszakże już dziś należy pomyśleć. Już dziś Wydział Opieki Społecznej powinien dołożyć wszystkich starań, by doprowadzić do jakiegoś modus vivendi pomiędzy magistrackiemi przedsiębiorstwami a tymi, którzy wyręczają Magistrat.

Ale jest i jeszcze jedna sprawa. Trzeba uprzytomnić sobie, że uboższa ludność Warszawy jest zupełnie odcięta od wszelkich kulturalnych instytucyj w stolicy. Mniejsza o to, że wstęp do takiego Instytutu Propagandy Sztuki kosztuje złotówkę, do Zachęty dwa złote. Ostatecznie można jakoś uzyskać zniżkę.

(W takim Wiedniu nawet przed wojną wstęp do najwspanialszych galeryj kosztował 10 — 20 hal. bez zniżki i bez propagandy). Ale przecież trzeba do tego wszystkiego dojechać! Szkoły, świetlice, kółka różne ostatecznie mogą zebrać jakoś na wstępy, i w rezultacie wstępy te kosztują taniej, niż przeklęta komunikacja miejska, bez której ani rusz.

Warszawa rośnie. I w miarę wzrostu jej centralne dzielnice, wraz z wszystkiemi, nagromadzonemi w nich skarbami coraz bardziej oddalają się od peryferyj, stają własnością coraz mniejszej ilości mieszkańców, wypieranych przez wszelkiego rodzaju biura do dzielnic odległych. Pogłębia się przedział pomiędzy centrum a przedmieściem. W Mokotowie, czy Ochocie żyje się gorzej niż w małem miasteczku. Tak samo brak inwestycyj, ale wszystkie urządzenia, które tam są blisko — tu stają się niemal niedostępne.

Sprawa komunikacji miejskiej sięga jeszcze głębiej. Kilometrowe odległości niejednokrotnie uniemożlwiają ludziom poszukiwanie pracy. Czy można iść po kilkanaście kilometrów do fabryki, lub na miejsce zarobkowania? Czy człowiek zarabiający brutto dwa trzy złote może zapłacić za tramwaj tam i z powrotem 40 — 60 groszy?

Dochodowość tramwajów miejskich to bynajmniej nie najważniejsza sprawa w tym całym splocie zagadnień. Nie może ona stawać wpoprzek rozwojowi kultury, nie może ona stwarzać poprostu niebezpieczeństw społecznych, nie może ona kopać przepaści pomiędzy poszczególnemi częściami ludności stolicy. Komunikacja jest koniecznością w naszych warunkach, jest sprawą życia i gospodarczego i społecznego i z tem trzeba się liczyć. Trzeba nareszcie zrozumieć, że skoro wszystkie towary spadły w cenie od 40 — 60%, nie może tramwaj kosztować tyle samo, co w czasie najlepszej konjunktury, a nawet drożej o całych 25%. To jest skandal gospodarczy, którego życie nie zniesie. Magistrat musi się liczyć z opinją, która po wyczerpaniu wszystkich środków namowy, może się odwołać do bardzo ryzykownych wystąpień. Już dziś rozlegają się głosy za masowem bojkotowaniem opłat tramwajowych, za bojkotem tramwajów i autobusów. A wszystko to są bynajmniej nie miłe rzeczy.

Postulaty zaś nasze formułujemy w sposób następujący: 1) Obniżenie cen biletów do 15 groszy normalnych i 20 groszy przesiadkowych, 2) Obniżenie przejazdów robotniczych i uczniowskich do 10 gr., wreszcie przydział instytucjom oświatowym i kulturalnym kontyngentów biletów na zwiedzanie miasta i t. p. po pięć groszy maksymalnie. Wreszcie zarezerwowaie w drodze normalnej odpowiedniej ilości wozów dla kolonij letnich, które mają je otrzymać całkowicie bezpłatnie. Wozy te jadą poza normalnym rozkładem. *E. Iwanicki.*

DYSKUSJA

AD CALENDAS GRECAS.

Sympatyczny miesięcznik „Sygnały" w szeregu artykułów stwierdza bankructwo obecnego ustroju i domaga się swobody dla człowieka pracy, dla młodzieży i wielu innych rzeczy, o które walczymy. Notuje on mimochodem projekty polepszenia sytuacji wysuwane przez różne pisma, ale... nie wierzy, aby plany te dały się urzeczywistnić bez zmiany ustroju.

A więc? — Zmienić ustrój?

Nie mamy nic przeciwko temu. Absolutnie nic.

Ale jak?

Otóż na to „Sygnały" odpowiedzi nie dają i— dać nie mogą. Bo ustrój nie jest marynarką, którą zrzuca się za jednym razem. W jednem miejscu co prawda konstatują, że jednym z warunków naprawy jest oddanie inspekcji pracy w ręce przedstawicieli pracowników, i zaraz po apodyktycznem powiedzeniu, że kapitalizm do tego nie dopuści, stwierdza, że jednak reformę tę Hitler właśnie urzeczywistnił.

Bo o to właśnie chodzi, że przebudowujemy ustrój realizując jeden po drugim postulat postępu— nie inaczej! Nie to a to jest możliwe w przyszłym jakowymś ustroju, ale to a to obala podstawy kapitalizmu, wznosi inne fundamenty współżycia.

Przed dwudziestu laty nie śniło się teorjaktanowi, że ktoś jego członków zmusi do zakładania żłobków, że ktoś mu nakaże dawać urlopy. Przed dwoma laty nie śniło się nikomu, że w Niemczech o higjenie pracy będą rozstrzygać robotnicy, że zwolniony pracownik będzie mógł właściciela przed sąd pozywać. A jednak to się urzeczywistnia. —

I naszem zadaniem jest w codziennem życiu stosować fakty, realizować to, co uważamy za pilne, nieodzowne; opracowywać plany poprawy pracy dla organizacyj czynnych i twórczych, które będą się wżerać w ustrój dzisiejszy i przebudowywać go na nowy, w którym jak powiadają „Sygnały" każdy człowiek będzie potrzebny. Im więcej ludzi będzie potrzebnych — tem bliższy jest dzień tego nowego ustroju.

MOŻE DROGA...

Przemówienie p. Premjera Jędrzejewicza zawierało ustęp o szkolnictwie ukraińskiem. Nie było tam obietnic — była zapowiedź rozważenia ponownie pewnych zagadnień. A ilość tych zagadnień rośnie z dnia na dzień.

Ostrożny publicysta p. Wieczorkiewicz poruszył sprawę tę na łamach Biuletynu Polsko-Ukraińskiego, podnosząc niesłychaną gmatwaninę szkolną. Aż cztery typy szkół, z których żaden w gruncie rzeczy nie odpowiada potrzebom.

„Biuletyn" w sposób dyskusyjny jeszcze raz wysunął sprawę „plebiscytów" szkolnych. Mają one stanowić o języku wykładowym w szkole, ale nie wyjaśniają przecież nic, przyczyniając się tylko do zaognienia stosunków.

Boć głosowanie odbywa się pod naciskiem albo agitatorów, albo... administracji albo z obu stron. Kto przeważy? Po każdym plebiscycie zostaje niesmak i zadrażnienie, a często zmiana typu szkoły, tak, że dzieci które zaczęły się uczyć w jednym — kończą w innym, do którego trzeba się przystosować.

Jakoś bardzo szybko przebrzmiało wrażenie broszury p. Łosia na ten temat. P. Łoś stawiał sprawę po prostu. W czyim interesie leży uczenie się języka polskiego? W interesie ludności? Doskonale. Więc zostawmy jej troskę o to. Kto nie chce — niech się nie uczy. Zupełnie nie potrzebujemy mu narzucać tego obowiązku. Rzecz jasna, że znajomość języka państwowego otwiera pewne drogi, daje pewne możliwości. Też kto go nie zna — tych dróg i możliwości nie ma. Znajomość języka polskiego to dogodność, — kto jej nie chce niech nie ma.

Potraktujemy sprawę w ten sposób, że o to ułatwienie trzeba się postarać, a zniknie całość tego naprężenia z jakiem dziś mamy do czynienia na każdym kroku — odpadnie wszelka racja presji, ustanie ruch odśrodkowy, burzący ład w ziemiach o ludności mieszanej — zbudzony zostanie natomiast ruch odśrodkowy, podyktowany przez najbardziej oczywisty interes samej ludności i strajki szkolne jeżeli będą się odbywać to nie przeciw polszczyźnie, ale za polszczyzną.

Na dobro naszego stosunku do sprawy ukraińskiej trzeba zresztą zapisać w ostatnich czasach szereg faktów. „Biuletyn Polsko-Ukraiński" w dużej mierze przyczynia się do zapoznania stolicy z temi sprawami. Ostatnio poważnie zabrał się też do nich doskonale prowadzony miesięcznik lwowski „Sygnały", pismo o wysokim poziomie ideowym i literackim, pełne szlachetnej ambicji kulturalnej. Nareszcie dało ono głos żywiołom, które stać na swobodę myśli we Lwowie. Poczyna się w ten sposób oczyszczać tamtejszą zakażoną miazmatami nacjonalizmu atmosferę.

Uróchomienie zaległości

Sprawa drożyzny teoretycznie została przesądzona. Zdecydowano z nią walczyć. Szereg przedsiębiorstw zmuszono do obniżenia cen. Kartele musiały ugiąć się wobec woli Rządu. A przecież... daleko jesteśmy od całkowitej zniżki, równomiernej we wszystkich dziedzinach. Węgiel, jeden z zasadniczych surowców wszelkiej wytwórczości fabrycznej trzyma się mocno w cenie, która opłacać musi straty ponoszone na rynkach zagranicznych. Cukier, którego spożycie gwałtownie spada, wciąż jest drogi, ba, zgoła niedostępny dla olbrzymiej większości obywateli, gdyż również „dumpingujemy" jego wywóz. Tak się dzieje z wszystkimi przedmiotami, których wytwórczość pozostała uregulowana przez Państwo.

Pomimo zniżki, drożyzna kolei, przewozu kolejowego uniemożliwia ruch znacznej ilości towarów, gdyż stawki taryfowe podnoszą niewspółmiernie ich cenę. Opłaty pocztowe, niewzruszone, jak mur, telefony, telegrafy — wciąż utrzymują wysoki poziom kosztów handlowych.

W ślady przedsiębiorstw państwowych postępują i komunalne. Elektryczność, gaz, komunikacja miejska — wszystko to pobiera ceny takie same, albo tylko nieznacznie niższe od tych, jakie płaco-

no za czasów najlepszej konjunktury. Spożycie każdej z tych rzeczy spada gwałtownie. Ale przedsiębiorstwa handlowe, czy przemysłowe muszą w dalszym ciągu ich używać — więc ponoszą one ich koszty własne i wytrącają całe życie gospodarcze z równowagi. A trzeba pamiętać, że podatki, w odsetkach nie spadły, ale podniosły się, zabierając coraz większą część zarobku na rzecz skarbu. To również na potanienie nie wpływa.

Teorja zatem teorją, a praktyka praktyką.

Stoimy wobec pytania, co jest lepsze, czy utrzymywanie nadmiernych cen przez państwo i samorządy, przez instytucje prawa publicznego, czy też — nieodzowny skutek zniżenia cen — niedobór.

Dotąd polityka nasza opowiadała się stanowczo przeciwko deficytom ze względu na obawę przed inflacją, na brak jakiegokolwiek pokrycia. Było to wszakże możliwe tylko tak długo, pókiśmy przesilenie uważali za zjawisko przejściowe, za pewien okres, po którym musi „przyjść" polepszenie. Dziś coraz powszechniejsze się staje mniemanie, że przeżywamy okres, wymagający nie wyczekiwania, ale napięcia woli. Dla tego niezbędną jest rzeczą rozważenie planu, a może całego szeregu planów gospodarki deficytowej i odnalezienia środków pokrycia tego deficytu.

Dla tego właśnie zamieszczamy niniejszy artykuł inż. Kosińskiego poszukującego środków na podjęcie wielkich robót, które by ożywiły nasze życie gospodarcze.

Oddajemy zatem głos p. Kosińskiemu *(Red.)*.

* *

W ostatnich czasach w prasie sprawa przeżywanego kryzysu zajmuje naczelne miejsce, rozważane są jego przyczyny oraz sposoby walki z nim. W opinji publicznej skrystalizowała się świadomość, że dla zwalczenia kryzysu trzeba dać pracę tysiącom ludzi, którzy są jej pozbawieni. Fundusz Pracy i Fundusz Inwestycyjny są pierwszymi krokami w tym kierunku. Może więc słuszne będą uwagi dotyczące uruchomienia robót publicznych, które wysunąłem we wrześniu 1932 r.

Oparłem je na upłynnieniu zaległości płatniczych nieruchomości w stosunku do Skarbu Państwa oraz Instytucyj Publicznych, które wówczas przedstawiały się w przybliżeniu jak następuje:

podatki gruntowe w okresie 1929 i 1930 r.	30.841.000,—
podatki miejskie i niektóre miejskie	25.510.000,—
podatek majątkowy	510.641.000,—
podatek przemysłowy	179.080.000,—
podatki dochodowe rolnictwa na dzień 16/X 1931 r.	10.500.000,—
podatki samorządowe	60.000.000,—
ubezpieczenia ogniowe	15.000.000,—
ubezpieczenia społeczne	21.500.000,—
Państwowy Bank Rolny na dzień 1/VIII 1932 r.	
raty od pożyczek emisyjnych	30.015.785,—
raty z Państwowego Funduszu na meljoracje rolne	6.422.632,21
Bank Gospodarstwa Krajowego na dzień 1/VII 1932 r.	
raty od pożyczek emisyjnych	26.058.035,42
Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Warszawie w 1930/31 r. rachunek bieżących należności z dóbr	26.780.487,—
	zł. 942.348.939,63

Dane te są tylko orjentacyjne, i nie wyczerpują wszystkich zaległości podatkowych oraz należności instytucyj państwowych.

Uwzględniając należności od nieruchomości miejskich i przemysłu, można z dużem prawdopodobieństwem przyjąć, że suma zaległości płatniczych od nieruchomości wynosiła w końcu 1932 r. półtora miljona złotych.

Gdyby należności te były wpłacone w swoim czasie, dałoby to możność Skarbowi Państwa uruchomienia całego szeregu robót inwestycyjnych, przy których znalazłaby pracę duża liczba obywateli o różnychkwalifikacjach, powstaliby konsumenci.

Zaległości płatnicze są kapitałem unieruchomionym, posiadającym jednak energję utajoną. W celu wykorzystania tej energji właściciele nieruchomości, od których należą się wspomniane wyżej zobowiązania płatnicze, wystawiliby weksle z terminem paroletnim zabezpieczone hipotecznie z prawem pierwszeństwa przed innemi należnościami. Weksle te gwarantowane przez Rząd i zmagazynowane w jednym z Banków Państwowych, służyć mogą jako pokrycie bonów emitowanych przez ten Bank, a mające bieg publiczny, ewentualnie ograniczony do pewnego rodzaju wypłat, do określonego terminu.

Polska w dziedzinie kolejnictwa, budowy dróg, regulacji rzek, meljoracji, wyzyskania źródeł energji, urządzeń sanitarnych i t. p. o wiele pozostaje w tyle za sąsiedniem państwem. Zresztą nawet przeinwestowane Niemcy szukają ratunku w obecnem położeniu gospodarczem w uruchomieniu robót rządowych.

Bony, o których mowa mogą posłużyć do uruchomienia inwestycyj rządowych i samorządowych, na które Rząd udzielałby kredytu w bonach, niemi wykonywanoby wszystkie wypłaty. Pracownicy jednak musieliby być zabezpieczeni, że za swój zarobek nabędą artykuły niezbędne do życia (żywność, opał, mieszkanie).

Od konsumentów bony wpływałyby do właścicieli nieruchomości, którzy ze swej strony płaciliby niemi zaległe należności do Skarbu Państwa i Instytucyj Publicznych.

Bony nie byłyby spłacane gotówką, lecz odpracowane przez obywateli.

Z chwilą gdy zamożność pewnej nieruchomości podniosłaby się do tego stopnia, że oprócz zobowiązań bieżących spłacanoby część dawnych zaległości, bony na odpowiadającą sumę byłyby wycofywane, gdyż nie miałyby już pokrycia i misja ich byłaby skończona.

Inż. Jan Kosiński.

A więc rewolucja i dyktatura

Kongres PPS obradował w dniach 2, 3 i 4 bm. Znani oddawna politycy opowiadali o niesłychanym skrępowaniu prasy, zgromadzeń i jednocześnie pod bokiem wszystkiej policji zapowiadali rewolucję i naradzali się nad tem, co będą czynili po tej rewolucji. Władze bezpieczeństwa przyglądały się temu z całym spokojem, a cenzura z równym stoicyzmem pozwalała drukować streszczenia przemówień w codziennym urzędowym organie stronnictwa. Ze streszczeń tych dowiedzieliśmy się więc o panującym w Polsce faszyzmie, o tem, że ustrój obecny nie może być zmieniony inaczej jak przez rewolucję. Organ tak był pewien zupełnej bezkarności tych zapowiedzi, że drukował nie tylko światoburcze myśli, ale wszystkie nazwiska mówców, a ci z zadowoleniem odczytywali prawdopodobnie sprawozdania z wygłoszonych przez się sentencyj i zakupywali odpowiednie ilości egzemplarzy pisma, aby je okazać następnie przyjaciołom politycznym, których reprezentowali.

Bezstronny widz przyglądał się temu wszystkiemu i myślał o dysproporcji skarg i rzeczywistości. A jeżeli był prorządowo usposobiony, to cieszyć się musiał naprawdę głęboko i szczerze z siły rządu, który stać na to, by pozwalać na tego rodzaju kongresy i wystąpienia. Gadajcie sobie. Im ostrzej będziecie przemawiać — tem mocniej zaprzeczycie opowiadaniom o ponurem skrępowaniu wolności obywatelskiej w Polsce, tem większe i dobitniejsze wrażenie groteski będą czyniły wasze skargi.

„Musimy rewolucję przygotowywać" — zapowiada któryś z mówców „nie tylko mówić, co będzie poniżej". „Chcieliśmy iść do socjalizmu drogą reform, ale wrogowie nasi nam narzucili inną taktykę". Powiada drugi. Wrogowie narzucili. I to jest jeden punkt. Wrogowie ci są o tyle silni, o tyle mocni, że taktyka stronnictwa posiadającego jakoby historję wynikać ma nie z ideologji, nie z przesłanek wiedzy, nauki etyki, ale z narzucenia przez wrogów. O, przecież taktyka to rzecz zasadnicza — bodaj bardziej zasadnicza niż program, bo w niej żyje czynnik wychowawczy. I to jest jedno bardzo cenne wyznanie słabości.

I dalej, „Doświadczenie" pouczyło mówców; że demokracja prowadzi nie do socjalizmu; ale do faszyzmu. A stąd już wniosek jasny: „nikt nie przypuszcza, że po osiągnięciu zwycięstwa, po opanowaniu władzy ogłosimy demokratyczne wybory. Po zwycięstwie ogłaszamy dyktaturę, aby zgnieść wrogów proletarjatu". A kiedy mowa była o legitymacji rządów dyktatorskich odpowiedź usłyszeliśmy, aż zdumiewająco prostą: „nikt nie zapyta o legitymację dyktaturę, która da wszystkim pracę i płacę — da warunki znośnego bytu". I jeszcze dalej: — „wolność to dobra rzecz, ale wolność przyjdzie dopiero wtedy, gdy zmienimy ustrój".

Tak właśnie mówi Mussolini. Tak powiada i Hitler. Tak jeszcze przed nimi powiadali Komuniści w Rosji. Wszędzie aż do znudzenia to samo. Dajcie nam władzę, rozprawimy się z swoimi wrogami, a potem damy wam jeść. A wolność — czemu nie? Może. Wolność wobec siły naszych wrogów narazie jest przesądem.

Stąd płynie nagana już nie tylko dla socjalnej demokracji niemieckiej, że ugięła się przed Hitlerem, ale i dla angielskiej, że „z powodu braku kuku mandatów" oddała władzę w ręce stronnictw „burżuazyjnych".

Kongres pouczył nas zupełnie dokładnie o tem, że stronnictwo, które wypisywało na swych sztandarach hasła wolności, demokracji, godności ludzkiej — wszystko to obecnie odrzuca do lamusa przesądów. Otwarcie i szczerze stwierdza, że pragnie władzy. To jest całość programu — to jest ostateczne credo polityczne i społeczne.

Powiadamy całość. Tak jest. Bo przyszłość, ów socjalizm — to rzecz tak bezwzględnie mglista, że poprostu gadać o tem trudno. Podnosi się hasła uspołecznienia — bez jakiegokolwiek wyjaśnienia, czem jest to uspołecznienie. Przeciwstawia się etatyzacji przemysłu — nie mówiąc nic o sposobach ujęcia go w ramy celowości. Mgła, mgła i jeszcze raz mgła, z której ma płynąć obietnica dostarczenia wszystkim pracy i chleba, jako prawniczej legitymacji dyktatury. Zdawało by się, że ten sui generis areopag, posiadając nieomylne recepty na uzdrowienie świata ukrywa je, aby, broń Boże; ktoś ich nie wykorzystał i nie „zlikwidował" zysków cennego wynalazku.

Otóż kongres ten miał niewątpliwie ogromne znaczenie. Udowodnił on, że demokracja przebrzmiała na prawicy—przebrzmiała i na lewicy zupełnie—doszczętnie, że dążenia absolutystyczne komunistyczno-faszystowskie ogarnęły całą opozycję w Polsce, że demokracja ma tylko jedno schronienie — w kołach prorządowych reformistów, że demokracja może realizować swe postulaty tylko i wyłącznie pod rządami tak zwanej sanacji, która jak dotąd systematycznie wyrzeka się wszelkich dyktatorskich zakusów, a jeżeli nawet tego czy owego krępuje—to w stopniu znacznie mniejszym, niż nam to zapowiada program Obwiepola, lub ostatni kongres PPS.

Zmiana ustroju wynikać musi, ze zmiany człowieka nie z wygubienia człowieka w jakichś nowych „Sołowkach".

Wśród duchowieństwa katolickiego za granicą obserwujemy coraz mocniejszy zwrot przeciw antysemityzmowi. Zjawisko to zrozumiałe. Kościół, dążąc do powszechności, musi kłaść nacisk na pracę misyjną, na zyskiwanie neofitów. Tymczasem ruch antysemicki w swoich skrajnych przejawach dopatruje się żyda nie tylko w mechesie, ale w tym co ma 1/8-mą krwi semickiej w żyłach, uznaje za pozbawionego honoru nawet chrześćjanina o pochodzeniu „wątpliwie" aryjskim. To spycha prozelitów na samo dno odosobnienia i utrudnia propagandę chrześćjaństwa w sposób zabójczy. W państwach o charakterze świeckim, gdzie naprawdę istnieje „ecclesia militans" sprawa ta nabiera dużego znaczenia. Wypowiedzenia się są stanowcze, potępienia ostre. U nas, gdzie kościół katolicki jest faktycznie panujący duchowieństwo jeszcze nie zrozumiało należycie niebezpieczeństwa płynącego z przyswajania ideologji hitleryzmu przez pewne odłamy, nie odczuwa, że podgryza to sama korzenie rozwoju dalszego kościoła.

Oto jest szkoda dla religji płynąca z uprzywilejowania kościoła. Szkoda, która już teraz duchowieństwo polskie stawia w opozycji do oświeconej części hierarchji katolickiej na świecie.

Życie Warszawy w Królestwie Kongresowem

Ludność Warszawy w roku 1830 liczyła 129.905 głów. Ludność ta była najróżnorodniejsza: urzędnicy niżsi i wyżsi, rzemieślnicy i rolnicy, handlowcy i subjekci, zamożna szlachta, nie mieszkająca w swych posiadłościach, ucząca się młodzież, stanowiąca mniej więcej 5% mieszkańców, wolne zawody, inteligencja, wreszcie zdeklasowana szlachta-rolnicy; lub przybysze z ziem zabranych. Skład narodowościowy również nie był jednolity. Część trzecią stanowili żydzi, poważny odsetek reprezentowali niemcy — fabrykanci i robotnicy.

Życie tej różnorodnej masy mieszkańców wartkim toczyło się prądem. Ujawnił się on przedewszystkiem w życiu towarzyskiem, w dążeniu do skupień i narad; w instynkcie zbiorowego życia. A że w stolicy brakło klubów i instytucyj społecznych z wyjątkiem jednego tylko Towarzystwa Dobroczynności, że energja ludności nie miała ujęcia w życiu polityczno-społecznem, role te przejęły salony arystokracji, resursy kupieckie, kawiarnie, robotnicze gospody i sale tańców.

Salony koncentrowały życie arystokracji, wyższych urzędników Królestwa i wpływowej inteligencji, zbierała się tam elita społeczna i umysłowa Warszawy. Nie były salony tylko terenem zabaw i bali, łączyły rozrywki towarzyskie z bezsprzecznie wysokim poziomem kulturalnym.

Zamożni kupcy i fabrykanci zbierali się w starej i nowej resursach kupieckich. Zebrania były częste, liczne i huczne. Zbierało się 80 — 400 osób. Uczęszczane były i przez wybitne osobistości z arystokracji i świata urzędniczego, które iść musiały po pewnej linji demokratyzacji, a to w związku ze swemi interesami majątkowemi.

Studenci, których liczba sięgała w Warszawie tysiąca, niżsi urzędnicy, literaci; inteligencja i zdeklasowana szlachta-przybysze gromadzili się w licznych kawiarniach Krakowskiego Przedmieścia i ulicach Miodowej i Trębackiej. Od pierwszej już po południu kawiarnie były pełne, schodzono się na kawę, by wieczorem przyjść na „smaczny ponczyk“. W kawiarniach tych, które słynęły z doborowej muzyki, panował ożywiony ruch i zgiełk. Bujne życie prowadziły również, tak zwane warstwy niższe, więc rzemieślnicy, czeladnicy i subjekci handlowi. Zbierali się w gospodach, salach tańca. Najliczniej gromadzili się w soboty, niedziele i poniedziałki. W gospodach tych wyładowywali energję, bądź w tańcach, pijatyce i zabawach, bądź w bójkach; częstych bardzo. Gospody te znajdowały się pod specjalnym dozorem policji jawnej i tajnej.

Ten bujny rozkwit życia towarzyskiego stolicy, który znamionował silne ożywienie i aktywność mieszkańców, nie był jednak dowodem dobrobytu ludności, lub jej nieuciążliwych warunków. Warunki materjalne ludności stolicy wiążą się ściśle z rozwojem przemysłu Królestwa Kongresowego, z działalnością gospodarczą Lubeckiego. Epoka Królestwa to narodziny przemysłu fabrycznego i szybki, szybszy niż we Francji jego rozwój. A zmiana form produkcji z rzemieślniczej na fabryczną w Królestwie musiała wywołać skutki, podobne do tych, jakie wywołała w Anglji lub Francji. Rzemieślnik poczyna tracić niezależność, wpada pod wpływy pośrednika-kupca, którym był w Królestwie przedewszystkiem żyd-lichwiarz. Od niego bierze rzemieślnik pieniądze na zakup surowca, jemu też zbywa swe wyroby. W innym wypadku pracuje u siebie w domu z ramienia przedsiębiorcy, który wynagradza go za pracę. Zarobki więc rzemieślnika spadają, zależy on pozatem w swej pracy od kupców lub przedsiębiorcy. Często spada do rzędu zwykłego robotnika fabrycznego. Ponadto do Królestwa imigrują rzemieślnicy obcy; sprowadzani przez rząd, Komisje wojewódzkie lub przedsiębiorców. Imigrują rzecz jasna najbiedniejsi. Zagrażają bytowi rzemieślników Polaków, konkurując z nimi i jednocześnie ulegają ich warunkom bytu. Zarobki też rzemieślników są niskie. Określić je trudno z raportu Komisji wojewódzkiej Kaliskiej wypada, że przeciętnie rzemieślnik zarabia 6 — 7 zł. 15 gr. w ciągu 4 — 5 dni. Walczy ponadto rzemieślnik z konkurencją fabryk, często nie wytrzymuje jej i staje się wyraźnie najemnym robotnikiem. A warunki pracy w fabrykach nie były zbyt lekkie. Pracowano do 12 godzin, nierzadko i w nocy. Pracowali i starcy i kobiety i dzieci. To też w Króelstwie Kongresowem bywały i zaburzenia rzemieślnicze, ilustracją których mogą być z trudem stłumione dwudniowe rozruchy rzemieślników w Zgierzu (30 — 31 październik 1826 r.). Warunki te pogarszał powszechny brak pieniędzy, których cyrkulacja była niedostateczną i wysoka stopa procentowa, wynosząca prywatnie do 24%. Bank Polski oficjalnie ustanawia w 1830 r. stopę 5%.

Te warunki życia odbić się musiały i na Warszawie i to w wielkim stopniu. Rozbudowa przemysłowa Warszawy idzie w szybkiem tempie. Wymowną ilustracją może być fakt, iż na ogólną sumę 3.087.134 złp., wypożyczonych na rozbudowę przemysłu w kraju w 1826 r., 1.905.000 przypadło Warszawie. W Warszawie koncentrują się główne rynki, począwszy od 1822 r., więc największy świętojański na wełnę z gmachem pojezuickim na Starem Mieście, jako składem Banku Polskiego, więc targowisko na Rynku Starego Miasta i targi zbożowe między ul. Chłodną i Lesznem. Zjawiają się większe biura komisowe i ekspedycyjne, biura techniczne, domy bankierskie, towarzystwa handlowe, jak Towarzystwo wyrobów zbożowych lub Towarzystwo wyrobów lnianych. Powstają w szybkiem tempie większe i mniejsze fabryki. Tak więc w Warszawie istnieje rządowa fabryka maszyn, fabryka metalurgiczna Ewansa, zatrudniająca do 1.500 robotników, gisernia Gregoire'a, liczne walcownie blachy cynkowej, olbrzymia fabryka sukiennicza Fraenkla, poruszana siłą parową (druga taka była w Opatowie), papiernia, młyn parowy na Solcu, fabryka dywanów Geismera, zatrudniająca w r. 1822 — 305 robotników, rządowa destylarnia wódek i likierów, fabryka cerat, fabryka instrumentów chirurgicznych Gerlacha, cegielnie i inne pomniejsze rękodzielnie, jak tasiemek, kołder, kapeluszy, farbiarnie; ludwisarnie,

mydła i świec, wód sztucznych i t. p., a nawet pracownia sztucznych kwiatów i fabryka wina szampańskiego. Konkurencji tych fabryk i rękodzielni trudno było wytrzymać rzemieślnikom warszawskim, istniała też niechęć rzemieślników do zakładanych fabryk

Na drożynę tę użalał się ogół mieszkańców. Za mieszkanie czteropokojewe z kuchnią płaciło się przeciętnie 360 złp. rocznie, za pokój 100 — 140 złp., za parę butów należało zapłacić 12 złp.; bułka „strucelka z anyżem" kosztowała 3 grosze, „bułeczka siedlecka" 5 groszy. Cena pszenicy w listopadzie 1830 r. wynosiła za korzec 26 złp. 13 gr., żyta 19 złp. 5 gr., jęczmienia 15 złp. 6 gr., owsa 23 złp., mąki pszennej 40 złp., mąki żytniej pytlowej 28 złp. 20 gr., wół złp. 219, wieprz 63 złp., cielę 23 złp.; funt masła 29 gr., funt słoniny 16 gr., podczas gdy na prowincji ceny te były znacznie niższe, często przeszło 50% (tak np. w Łomży żyto 12 złp., pszenica 22 złp., jęczmień 7 złp., owies 6 złp., mąka pszenna 24 złp., żytnia 12 złp.; w Kolnie żyto 10 złp., pszenica 12 złp., jęczmień 4 złp., owies 4 złp.; mąka pszenna 12 złp., pytlowa 10 złp. i t. p.). Utrzymanie przeciętnej rodziny, złożonej z 8-miu osób (taką bowiem liczbę osób liczyła w owym czasie średnio liczna rodzina), nie licząc mieszkania, wynosiło przeciętnie 5 — 6 złp.

Tym cenom nie odpowiadały zarobki. Płace rzemieślników sięgały 1 złp. 20 gr. dziennie. Innych zarobków wyrazem będą płace municypalności: prezydent miasta pobierał rocznie 15.000 złp., wiceprezydent 12.000 złp., sekretarz generalny 5.000 złp., naczelnicy wydziałów 5.000 złp., asesorowie 4.000 złp., inni urzędnicy — od 2.000 — 3.000 złp., policjant 1.440 złp., woźni 600 złp., dziesiętnicy inni od 480 złp. do 243 złp. Widać więc dużą rozpiętość w płacach i niezwykle niskie zarobki w warstwach t. zw. niższych. Położenie więc materjalne ogółu ludności Warszawy było ciężkie. Nic też dziwnego, że świat pracy Warszawy burzył się nieomal otwarcie. *Dr. E. Oppman.*

Miasto przyszłości

Kiedy się czyta projekty architektów współczesnych o urządzeniu miast, uderza przedewszystkiem niesłychany konserwatyzm. Artyści nawet wybitni zdają się zupełnie nie myśleć o tak zasadniczej rzeczy jak materjał, z którym dziś mają do czynienia, z możliwości, jakie ma do rozporządzenia technika dzisiejsza. Powrót do domków małych z ogródkami... Drapacze nieba dziesięcio - czy dwudziestopiętrowe w odległości dwustu metrów jeden od drugiego... Kształty? No — rzecz jasna ta sama chata drewniana tylko powiększona. Zdobnictwo? Celowość. Celowość w znaczeniu wczorajszem — nawskroś wczorajszem — celowość fabryczna przypominająca pasy, transmisje, turbiny.

A tymczasem mamy żelazo-beton, mamy stali gatunki najwyższe, mamy możność wznoszenia się w górę niewiem jak wysoko — kilkaset a może nawet i parę tysięcy metrów. Gdzieś niezależnie od tego wszystkiego uczeni dowodzą, że na wysokościach znaczniejszych wieją, prawie nigdy nie ustające, wiatry, które mogą być źródłem ogromnej energji, zastąpić węgiel, siłę wodną... Celofan zdobywa sobie coraz szersze zastosowanie. Wiadomo, że na pewnych wysokościach znacznie mniej jest bakteryj... Nikt jakoś nie ma odwagi połączyć tych faktów i dla tego zabudowuje się centra miast w tak dziki sposób, że tam i sam komunikacja piesza jest nieomal szybsza od samochodowej... Co na to poradzić? Dziś rozszerzone ulice już jutro będą wąskie.

Jakżeż powinno też wyglądać miasto przyszłości? Przedewszystkiem więc wyzyskać trzeba wszystkie możliwości techniczne. Nie trzeba go rozrzucać po ziemi. Ziemia jest potrzebna na parki, na zieleńce, na wielkie place. Należy ją zostawić ruchowi i przyrodzie. Miasto zaś we wspaniałych łukach i ostrołukach jakby ażurowe olbrzymie szkielety budynków gotyckich, jak niesłychanej wielkości wiadukt, koronki, wnieść na kilkaset lub kilka tysięcy metrów nad poziom. Na samym szczycie olbrzymie wiatraki ustawione będą brały prawie darmo niesłychane zapasy energji błękitnej aby oświetlić przecudną napowietrzną koronkę miasta całem bogactwem blasków. We wszystkich filarach, w łukach, arkadach będą mieszkania ludzkie, otwarte na cztery strony świata, czerpiące i ciepło i światło z central elektrycznych napowietrznych. System cały wind, linowych kolejek łączy poszczególne części miasta ze sobą przerzucając ludzi setki metrów w górę i w dół. A u stóp miasta szumi cudowny park, z którego tylko gdzieniegdzie wytryskają fundamenty kolosalnych żeber łączących się w ażurowe sklepienia hen — w górze.

Pracują kędyś na platformach centrale zaopatrywania, czy sklepy, połączone rurami poczty pneumatycznej z punktami rozdzielczemi. Gdzieindziej są wystawy, sale koncertowe. W jakimś punkcie mamy specjalne salony dla pp. profesorów, wykładających za pośrednictwem radja. A znów gdzieindziej pracownie. Kolejka linowa łączy miasto z warsztatami i fabrykami, którym kable z góry dostarczają prąd. Nie dymią więc ich kominy.

W mieście niema ani samochodów, ani koni, ani żadnych pojazdów. Małe wózki śmigają na linkach. Tylko u dołu, na peryferjach parku stoją garaże i dworce kolejowe dla dowozu towarów i ludzi. Wszędzie światło. Słońce dociera do każdego ziemi spłachcia, naświetla każde zawieszone pomiędzy niebem a ziemią mieszkanko. Wielkie smugi cienia wędrują po parku. Chorzy są przenoszeni w miarę potrzeby na dół, albo hen na jakieś pięćsetne piętro, na wysokości, gdzie już żaden kurz nie dolata, ponad niżej płynące obłoki... i mgły.

A fantazja taka bynajmniej nie byłaby bezpłodna, gdyż kolosalne zasoby błękitnej energji zupełnie usprawiedliwiać mogą takie darcie się w górę, a bankructwo kamienicy czynszowej zmusza Państwo i samorząd do budownictwa.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa właśnie taka jest przyszłość miast. Miljonowe skupisko stanie się wtedy olbrzymiem dziełem architektury niesamowicie pięknem. Rozmieszczenie na jego tle pewnych świateł stwarzać może cudowne, zawieszone w powietrzu pomniki — całe obrazy— naprawdę niebotyczne, wobec których to, co dziś stawiamy, zejdzie do roli statuetek ogrodowych.

Gospodarczo — powtarzamy — tego rodzaju pomysły są najzupełniej usprawiedliwione. W Sowietach i w Niemczech już przystąpiono do opra-

cowywania tego rodzaju cudów, co prawda jeszcze nie w arkadach. Ot — czy też u nas zabraknie wielkiego talentu i rozmachu do zaprojektowania tego rodzaju Warszawy? Kto wie, czy nie stałaby się ona wtedy centrum świata? Czy zabraknie nam inicjatywy zaprojektowania nowej Gdyni zawieszonej na arkadzie pomiędzy Górą Kamienną a Kępą Oksywską, a trzeci łuk opierającą aż w dno zatoki?

Niema niemożliwości. Trzeba tylko woli przebudowania Polski, trzeba porzucenia utartych form, trzeba zrozumienia, że jeżeli w nowym materjale naśladujemy stare kształty—wszystko jedno gotyku czy fabryki—to grzęźniemy w eklektycyźmie, zabijającym każdą twórczość artystyczną prawdziwą, która z natury rzeczy musi dążyć do wyzyskania w najwyższym stopniu właściwości posiadanego materjału.

I niema czego lękać się kosztów. Tyle sił, tyle rąk roboczych jest wolnych, że tylko zdolności organizacyjnych trzeba, tych samych, na jakie zawsze wielki architekt musiał się zdobyć. Bez tych zdolności nie powstałaby ani piramida Cheopsa, ani kościół Piotra, ani wieża Eiffla.

A przecież tamte gmachy służyły czemuś pozaludzkiemu, a projekt naszego miasta ludziom ma służyć. Tamte nie odpowiadały żadnym ekonomicznym potrzebom, a ten — właśnie gospodarstwo człowiecze urządza. *K. F.*

Oddziały pracy

Nie możemy poprzestać na jednokrotnem poruszeniu zagadnienia oddziałów pracy. Sprawa to naszem zdaniem jest zbyt doniosła, zbyt ważna w skutkach, by można ją było pozostawić bez dokładnego omówienia. Wskazaliśmy w poprzednim artykule na możliwości podjęcia tej akcji na większą skalę.

Od samego początku grozi im poważne niebezpieczeństwo militaryzacji, którego należy uniknąć. A unikanie jst tem trudniejsze, że pod wieloma względami właśnie z wojska trzeba będzie czyć. Ono bowiem wyrobiło tę sprężystość orgabrać wzór. ba, pewne rzeczy od wojska zapożynizacji, dysponowanie wielkiemi masami ludzi, ono posiada umiejętność zaopatrzenia ich, lokowania, karmienia, odziewania.

Ale oddział pracy — to nie jest wojsko. Służba w nim jest dłuższa, jak to wynika już z naszego referatu poprzedniego. Zadaniem jego jest nietylko zatrudnienie, nie tylko ukulturalnienie kraju, zinwestowanie go, nie tylko odciążenie rynku pracy, ale i wychowanie człowieka, który się znajdzie w oddziałach. A tego osiągnąć nie można w ramach dyscypliny militarnej i ustalenia władzy na podstawie czystego rozkazodawstwa. Uzupełnieniem jego w jaknajszerszym zakresie powinien być samorząd, stworzony na wzór tych, jakie posiadają obecnie niektóre zakłady wychowawcze, samorząd o ściśle zakreślonych ramach, którego zadaniem było by przedewszystkiem pilne przestrzeganie dyscypliny, zasad koleżeństwa, a następnie jaknajściślejsza czujność nad porządkiem, wydajnością pracy, ścisłem przestrzeganiem koleżeństwa, kontrola materjalna i t. d., a i szereg spraw gospodarczych. Granice kompetencji samorządu i warunki ograniczania go muszą być jaknajściślej ustalone przedewszystkiem dla tego, że znaczenie jego ma być nie tylko wychowawcze, ale praktyczne. Tylko w ten sposób osiągniemy możliwie największe oszczędności na administracji z jednej strony, a z drugiej to, że służba w oddziałach pracy da nie tylko teoretyczne przygotowanie ich uczestnikom, ale zaprawi ich również do obywatelskiej pracy społecznej w gminie, gromadzie, czy w mieście, w instytucji społecznej i w związku zawodowym. Ideał, do którego należałoby dążyć — to sprowadzenie administracji do roli dysponenta sił roboczych, intendenta i kontrolera sprawności organizacji, kontrolera zresztą, rozporządzającego dostateczną władzą do usuwania z miejsca wszelkich niedociągnięć i ucinania wybujałości, które by biegowi prac oddziału mogły przeszkodzić. Czy i jak tego rodzaju porządek można by było zaprowadzić? Jak długa musiałaby być szkoła rekruta, w czasie której instruktorska władza stanowi o wszystkiem? Czy wszyscy mają odrazu zyskiwać równe prawa, czy nabywa się je dopiero stopniowo — to są wszystko sprawy, które praktyka dopiero może wyjaśnić.

Otóż tego wszystkiego nie widzimy w obozach zorganizowanych przez „Strzelca". Mamy tam do czynienia z ścisłem naśladowaniem wzorów wojskowych, z próbą tworzenia armji pracy, podporządkowanej całkowicie komendantom. Mamy tam daleko idące ograniczenia swobody poruszania się. Każdy pędzi życie w obozie, z którego wydalanie się bez przepustki jest zakazane. Wszystkie władze są nominowane z góry. Uczestnik obozu pozostaje przez cały czas w szeregu — nie jedynie wtedy, gdy wykonuje robotę, ale i w czasie nauki, a w gruncie rzeczy nawet w czasie zabawy.

Nie podnosimy bynajmniej tego jako zarzutu. Rozumiemy dobrze, że w tej chwili organizacja tak udatnie zapoczątkowana jeszcze stanowi próbę, jeszcze odbywa szkołę rekruta, jeżeli się tak można wyrazić. Wszystko tam jest w stanie zaczątkowym. Uczestnicy sami wraz z dowódcami nie osiągnęli jeszcze doświadczenia, które by pozwoliło na samoistne przekształcanie organizacji. W tych warunkach wzięto jedyny wzór, jaki był — wojsko. Przyjęto, gdyż na ogół jest to wzór doskonały, który zdał egzamin nie tylko pod względem militarnym, ale i w pracy kulturalnej, twórczej, który potrafił (jak dajmy na to KOP) nie tylko wypuszczać ze swych szeregów ludzi przeobrażonych, oświeconych, wychowanych umysłowo i fizycznie, ale podnosić całe okolice, całe duże połacie ziemi.

Podnosimy nasze zastrzeżenia jedynie dla ukazania całej tej organizacji przyszłej drogi rozwoju. Rygor dobrowolnie przyjęty w obozie ochotniczym, z którego każdej chwili można wystąpić jest znośny. Człowiek przyjmuje go z pewnym humorem, a nawet z pewnym odcieniem dumy. Rygor ten może się stać męką, jeżeli wynika z nakazu prawa, jeżeli znosić go każdy musi, jeżeli trwać ma obowiązkowo przez parę lat. A przez parę tych lat można zrobić z ludzi albo świadomych obywateli— albo automaty, co w żadnym razie nie było by korzystnem co mogło by stać się w pewnych warunkach nawet klęską. Wszelka reforma musi mieć na widoku cel najważniejszy — usamodzielnienie człowieka, nie zaś zmechanizowanie go.

SPRAWY SPOŁECZNE

Rozdawnictwo ziemniaków i węgla:

Od dnia 18 grudnia r. ub. do dnia 1 lutego r. b. zaopatrzono w ziemniaki 34.984 rodzin bezrobotnych, wydając z piwnic Komitetu *1.249.200 kg.* ziemniaków. W tymże samym czasie, t. j. od 18 grudnia do 1 lutego r. b., wydano 29.880 rodzinom bezrobotnym *1.491.500 kg.* węgla.

Ponadto do dnia 1 lutego b. r. wydano *8.319,50 kg.* mieszanki kawowo-cukrowej.

Rozdawnictwo mieszanki kawowo-cukrowej:

Od dnia 1 lutego r. b. mieszanka kawowo-cukrowa będzie wydawana posiadaczom kart świadczeń w ilości 750 gramów na głowę rodziny, oraz po 750 gramów na członków, mających skończone lat 18-ście, a będących na całkowitem utrzymaniu posiadacza karty świadczeń.

Z dniem 31 stycznia r. b. zakończone zostało rozdawnictwo ziemniaków dla bezrobotnych.

Rozdawnictwo węgla z przydziału lutowego rozpocznie się z dniem 10 lutego r. b.

Sekcja Dożywiania:

W m-cu styczniu wydano obiadów:

dla pracowników fizycznych 562.597, umysłowych 82.328; razem 644.925.

Z tego w kuchniach własnych: dla pracowników fizycznych 540.725, umysłowych 71.792; razem 612.517.

W kuchniach obcych: dla pracowników umysłowych 10.536, obiadów rytualnych 21.872; razem 32.408.

Sekcja Odzieżowa: w m-cu styczniu wydała 460 sztuk odzieży na sumę zł. 4.511.88.

ODCZYT PRZEZ RADJO.

Zwracamy uwagę naszych czytelników na odczyt, który wygłosi przez radjo w poniedziałek dn. 12 b. m. o godz. 19 m. 30 stały nasz współpracownik dyr. Instytutu Oświaty Pracowniczej p. Henryk Rygier na temat: „Nowe możliwości zarobkowe pracowników umysłowych". Ze względu i na temat i na osobę prelegenta, odczyt ten gorąco polecamy.

Związek „Wirunów". Od kilku lat istnieje w Krakowie organizacja ludzi dobrej woli p. n. Związek Wirunów, którego celem jest wzajemna pomoc członków w życiu codziennem, praca nad sobą i praca społeczna. Najbliższem zadaniem Związku jest budowa „Domu Dziecka", który skupi rozproszone wysiłki różnych stowarzyszeń, opiekujących się dzieckiem. W „Domu dziecka" projektowana jest sala wykładowa, w której mieścić się będzie „Szkoła zdrowia" z kursem dla matek, rodziców i kandydatów do małżeństwa. Pozatem w „W. d." znajdzie pomieszczenie biblioteka i czytelnia dziecięca, świetlica oraz ośrodek zdrowia dziecięcego. Magistrat m. Krakowa przeznacza na ten cel odpowiednią parcelę w śródmieściu. O Związku Wirunów napiszemy wkrótce obszerniej.

Redaktor i Wydawca: *Adam Uziembło*

Druk. „Nowogrodzka" Warszawa, tel. 680-20